Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. A. Mickiewicza Zielona Góra

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 1(19) 2003 ROK VIII
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

2003
Nr 1-3

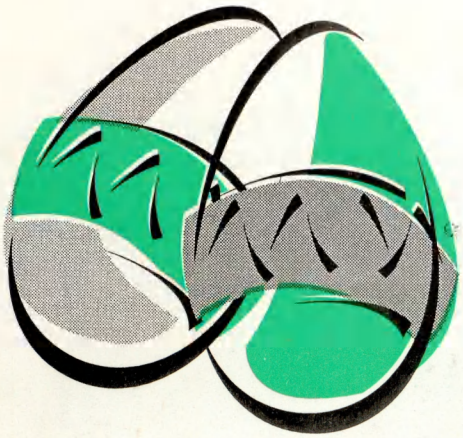

Figura św. Jana Nepomucena

Wspomnienia Irmy Engler

Opowieść o życiu Krystyny Klęsk

Stanisław Para - mistrz ekslibrisu

Konterfekty z dziejów Śląska

Zielonogórskie czarownice

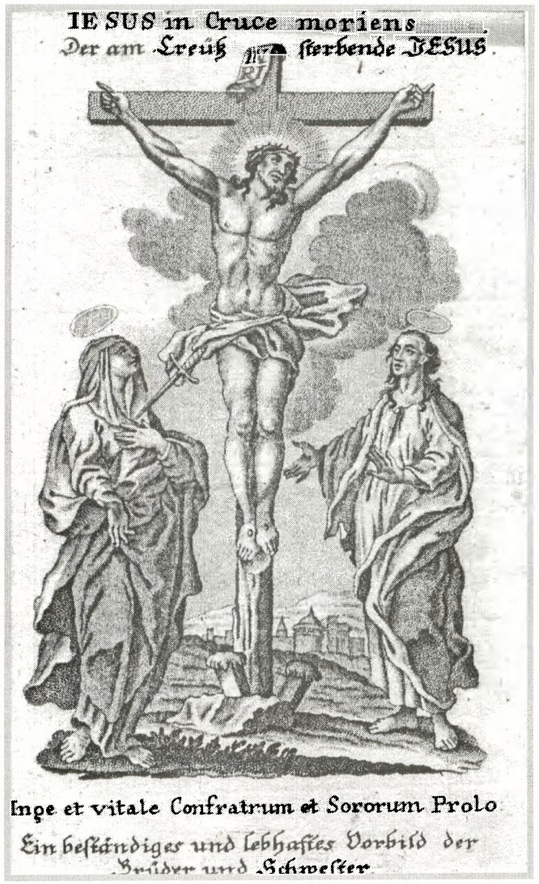

Miedzioryt, XVIII w.
(ze zbiorów) Dz. Zb. Specj. Biblioteki UZ.

Wszystkiego najlepszego z okazji
zbliżających się Świąt Wielkiejnocy życzy
Redakcja

899 III/2003
2003

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska
Tomasz Nodzyński
Wiesław Nodzyński
Wojciech Strzyżewski
Robert Skobelski

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Korekta:

Ewa Przygoda

Druk:

Drukarnia „EURODRUK"
Zielona Góra

Na okładce:

Państwowe Seminarium
Wychowawczyń Przedszkoli
Pocztówka z lat trzydziestych XX wieku

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Oddajemy do rąk Czytelników już dziewiętnasty numer naszego kwartalnika. Mamy nadzieję, że lektura zamieszczonych w nim tekstów, przyczyni się do wzbogacenia Państwa wiedzy o Zielonej Górze i różnych wątkach historii miasta, a ponadto zachęci do sięgnięcia po kolejne zeszyty „Pionierów".

Artykuł Adama Górskiego został poświęcony figurze św. Jana Nepomucena przy kościele pw. Św. Jadwigi. Autor, charakteryzując zabytek opisuje również samą postać świętego i początki jego kultu w Zielonej Górze.

Tekst Małgorzaty Twarowskiej, oparty na wspomnieniach Irmy Engler, przybliża postać Anny Borchers – założycielki Zielonogórskiego Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli, w którego budynku mieści się dzisiaj Medyczne Studium Zawodowe im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Moje życie na pograniczu – to opracowana przez Pawła Macherskiego, barwna i dramatyczna zarazem historia życia Władysławy Kuski, długoletniej działaczki przedwojennych organizacji polonijnych w Nowym Kramsku, która od blisko 40 lat mieszka w Zielonej Górze.

Kolejny tekst wspomnieniowy jest wynikiem rozmowy przeprowadzonej przez naszych współpracowników – Daniela Koteluka i Stanisława Matusiaka ze Stefanem Mańko, jednym z pierwszych pracowników fabryki zgrzeblarek w Zielonej Górze. Bohater wywiadu opowiada o okolicznościach swojego przyjazdu do miasta w 1947 r., warunkach pracy w przedsiębiorstwie oraz lokalnych echach ważnych wydarzeń politycznych w kraju.

Artykuł Anny Ciosk odnosi się do losów Krystyny Klęsk, m. in. członkini wielu stowarzyszeń kulturalno-naukowych, aktywnej działaczki Ligi Kobiet, zaś od 1949 r. kierowniczki zielonogórskiego Muzeum. Na początku 2002 r. Muzeum Ziemi Lubuskiej, w ramach cyklu „My Zielonogórzanie...", zorganizowało wystawę poświęconą drodze życiowej i działalności tej niezwykłej postaci.

Izabela Korniluk pisze o relacji ks. Gottwalda z pierwszych dni w powojennej Zielonej Górze, zaś Stanisław Prałat prezentuje list tegoż duchownego z sierpnia 1946 r. adresowany do przyjaciela, który w bardzo sugestywny sposób opisuje gehennę zielonogórskich Niemców, bezkarne panoszenie się żołnierzy radzieckich i zamęt pierwszych miesięcy po zdobyciu miasta.

Grzegorz Chmielewski prezentuje osiągnięcia znanego zielonogórskiego twórcy ekslibrisów, Stanisława Pary, odnoszącego w swojej dziedzinie sztuki spore sukcesy w kraju i za granicą.

Napisany z dużą swadą tekst Joanny Zienkiewicz, to obraz znanego wątku historii Zielonej Góry, związanego z procesami tutejszych czarownic sprzed kilku wieków.

Konterfekty z dziejów Śląska Longina Dzieżyca stanowią opis ciekawej wystawy pod tym samym tytułem, zorganizowanej przed dwoma laty przez Muzeum Ziemi Lubuskiej, gdzie prezentowano zachowane portrety władców sprawujących rządy na przestrzeni kilkuset lat.

Tomasz Kowalski zajmuje się natomiast, wykonanymi w różnych technikach graficznych, historycznymi panoramami Zielonej Góry, z których najstarsza pochodzi z przełomu XVII i XVIII wieku.

Kolejne *Rozmyślania po północy* Jan Muszyński poświęca zarówno postaci wybitnego zielonogórskiego malarza – Tadeusza Konicza, jak i wieloletniej batalii o powołanie Muzeum Historii Miasta oraz okolicznościom otwarcia stałej galerii Kuntze-Konicza.

Numer zamyka następna część cyklu *Poznajemy Ojcowiznę* Jerzego Łatwińskiego, który tym razem przedstawia turystyczno-krajoznawcze zalety Wzgórz Dałkowskich.

Robert Skobelski

Figura św. Jana Nepomucena przy kościele pw. św. Jadwigi w Zielonej Górze

Epigrafik prowadzący badania nad napisami – inskrypcjami, wykonanymi w materiale twardym (kamieniu, brązie, cynie, srebrze czy złocie) często spotyka się ze zjawiskiem tzw. „przemieszczania się" zabytków inskrypcyjnych. Stąd też określenie „zabytek ruchomy" jest w niniejszym przypadku jak najbardziej uzasadnione. Określenia tego możemy używać również w stosunku do dzwonów, które przenoszono z wieży na wieżę; naczyń liturgicznych, które często „wędrowały" pomiędzy poszczególnymi kościołami jak również w stosunku do pozostałego wyposażenia świątyń i innych budowli. Tego rodzaju badania pozwalają nie tylko zbadać poszczególne zabytki, ale także ukazać historię, kontakty i więzi kulturowe pomiędzy poszczególnymi regionami. Badaczowi taki obiekt przynosi jednak dodatkowe utrudnienie związane ze żmudnymi poszukiwaniami archiwalnymi mającymi na celu nie tylko identyfikację, ale również ustalenie losu zabytku. Cel ten stanowi zarazem wyzwanie dodające do naszej pracy nutę romantyzmu, przygody, a niekiedy i elementy kryminalistyki. W niniejszym artykule przedstawiam kolejny wycinek z badań prowadzonych przez Pracownię Epigraficzną Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego pod kierunkiem prof. Joachima Zdrenki nad zabytkami epigraficznymi Zielonej Góry. Obiektem dzisiejszych dociekań jest figura św. Jana Nepomucena znajdująca się obecnie na zewnątrz kościoła p.w. św. Jadwigi po stronie południowej.

Postać św. Jana Nepomucena jest dosyć dobrze znana w historiografii. Jest on patronem Czech, a jego kult szybko rozprzestrzenił się na Śląsku i dotarł aż do naszego regionu. Sam święty urodził się pod koniec I połowy XIV wieku w Pomuku koło Pragi. Od dzieciństwa był przygotowywany do służby duchownej. Już w 1370 roku pracował jako notariusz w kurii biskupiej w Pradze, będąc jeszcze wtedy klerykiem. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1380 roku. Następnie został wysłany na studia uniwersyteckie – najpierw do Pragi, a następnie do Padwy, gdzie uzyskał w 1387 roku tytuł doktora prawa kanonicznego. Po powrocie do kraju otrzymał stanowisko kanonika-proboszcza, najpierw przy kolegiacie św. Idziego, a następnie św. Piotra i Pawła. Szybko awansował na archidiakona, a wkrótce na wikariusza generalnego metropolity praskiego Jana z Jenštejna. Ta ostatnia nominacja zadecydowała o jego losie. Był to czas walk i sporów Wacława IV Luksemburczyka – króla Czech (1378-1419) z magnaterią szlachecką i hierarchią kościelną o zakres władzy królewskiej. Korzystając ze śmierci opata Rocka w Kladruby król postanowił na opuszczone stanowisko opata mianować swojego kandydata Hinka Pluha z Rabsztyna i utworzyć tu nowe biskupstwo wykrojone z terytorium biskupstwa praskiego, by w ten sposób osłabić metropolitę. Jednak zanim cel udało się zrealizować, miejscowi mnisi wybrali nowego opata – Odelenusa, a Jan Nepomucen w imieniu arcybiskupa ów wybór zatwierdził. Kiedy obłożono klątwą wicekanclerza królewskiego za publiczne bluźnierstwa, król wpadł w taki wielki gniew, że ponoć chciał zabić metropolitę wraz z kapitułą. Biskup uciekł w tej sytuacji do zamku w Rudnicach wraz ze swoim otoczeniem. Wkrótce król zaproponował pokój i spotkanie na zamku w Pradze. Okazało się to jedynie podstępem, bowiem zaraz po przybyciu aresztowano Jana Nepomucena i dwóch prałatów: Mikołaja Pruchnika i Wacława Knoblocha. Ostatnich dwóch wkrótce wypuszczono, przy czym tego ostatniego po krótkich torturach. Jan Nepomucen zaś, stał się ofiarą królewskiej zemsty. Po ciężkich torturach zrzucono świętego z mostu Karola do Wełtawy – 20 marca 1393 roku. Ciało zostało znalezione dopiero 17 kwietnia i pochowane w kościele św. Krzyża. Dopiero później przeniesiono je do grobowca pod katedrą.

Proces beatyfikacyjny rozpoczęty został dopiero w 1710 roku na polecenie cesarza Józefa I (1705-1711). Warto zwrócić uwagę, że był to czas działań kontrreformacji. Nowy święty był symbolem bohaterstwa i walki za wiarę. 31 maja 1721 roku papież Innocenty XIII (1721-1724) potwierdził Janowi tytuł błogosławionego, a 9 marca 1729 roku papież Benedykt XIII (1724-1730) zaliczył go w poczet świętych. Wcześniej – tj. w 1719 r. dokonano przeniesienia zwłok do grobowca obok głównego ołtarza w katedrze św. Wita. W czasie ekshumacji stwierdzono medycznie, że język nie uległ rozkładowi, co było jednym z dowodów w procesie beatyfikacyjnym.

W Polsce św. Nepomucen jest czczony na Śląsku jako patron mostów, powodzi i podróżnych, a także dobrej sławy, szczerej spowiedzi i sakramentu pokuty. To ostatnie wynika z legendy o Janie Nepomucenie, która nieco ubarwiając fakty ukazuje sprawę jego śmierci w nieco innym świetle. Według tego podania Jan Nepomucen miał być spowiednikiem królowej Zofii (1376-1425), drugiej żony Wacława IV. Kiedy król zażądał od duchownego szczegółów spowiedzi małżonki, a ten odmówił, kazał go najpierw torturować, a potem wrzucić do Wełtawy. Znaczyłoby to więc, że święty zginął w obronie tajemnicy spowiedzi. Pierwotna legenda mówiła tutaj o pierwszej żonie – królowej Joannie, zważywszy jednak na fakt, że zmarła ona w roku 1376, a więc 17 lat przed śmiercią świętego, wersja ta musi zostać odrzucona. W powiązaniu z tą legendą atrybutami świętego jest pięć gwiazd nad głową (symbolizujących gwiazdy lub płomienie jakie ukazały się nad świętym kiedy płynął z prądem rzeki) i krzyż trzymany w ręku. Na niektórych wizerunkach święty trzyma palec na ustach na znak milczenia. Czasami w drugiej ręce trzyma zamkniętą kopertę lub kłódkę – jako atrybut tajemnicy, ewentualnie palmę jako symbol męczeństwa. Na pamiątkę wrzucenia świętego do rzeki artyści umieszczają wizerunek Nepomucena na tle mostu, z którego został zrzucony.

W Zielonej Górze kult św. Jana Nepomucena pojawił się jeszcze przed oficjalną kanonizacją, tak samo zresztą jak na terenie sąsiedniej Polski. Już w 1705 roku sprowadzono do kościoła p.w. św. Jadwigi ołtarz poświęcony temu męczennikowi. W 11 rocznicę kanonizacji zielonogórscy wierni ufundowali figurę, wykonaną prawdopodobnie z piaskowca pochodzenia śląskiego. Przedstawiała ona świętego w stroju kapłańskim z aureolą pięciu gwiazd nad głową i atrybutami w dłoniach. Miała ona wysokość około 3 metrów wraz z trzystopniowym postumentem, który zachował się w oryginale do dzisiaj. W jego środkowej części, o formie trapezu, umieszczono wykutą wklęśle inskrypcję, ujętą w ramę ze ściętymi rogami. Treść napisu:

SANCTO
IOANNI NEPOMVCENO
EX DEBITO VENERATIONIS
FERVORE EREXERAT
L. D. B.

Tłum: Świętemu Janowi Nepomucenowi
z czcią najgłębszą poświęca LDB

W pracy z 1932 roku, poświęconej kościołowi, autor – F.Liebig odczytuje ostatnią linię jako C.D.B. Dziś litery są już mocno uszkodzone. Wydaje się jednak, że autor mylił się i pierwsza litera to jednak L. Potwierdził to zresztą Ernst Clauß, podając także propozycję rozwinięcia tego skrótu, sugerując, że prawdopodobnie fundatorem był ostatni burmistrz miasta Zielonej Góry przed inwazją pruską Leopold von Breitenfeld.

Inskrypcja zawiera, obok łacińskiej treści poświęconej Nepomucenowi, również chronogram, którego zliczone litery odpowiadające cyfrom rzymskim oddają sumę 1740, co stanowi rok fundacji. Data ta sugeruje, że sama fundacja może mieć także pewne znaczenie propagandowe. Jest to rok rozpoczęcia działań wojennych przez armię pruską przeciwko Austrii, których celem było zajęcie Śląska. Zielonogórscy katolicy, fundując pomnik niedawno kanonizowanego świętego (przypomnijmy, że proces beatyfikacyjny został zainicjowany na wniosek cesarza Józefa II – ojca Marii Teresy) jednoznacznie wskazali na poparcie udzielone stronie austriackiej.

Początkowo figura znajdowała się na Lindenplatz przy Holzmarkstraße (dzisiejsza ul. Konstytucji). Jednak podczas budowy drogi Wrocław – Berlin przeniesiono ją w 1816 roku na obecne miejsce. W bliżej nieznanych nam okolicznościach figura uległa zniszczeniu jeszcze w XIX wieku. W roku 1900 w jej miejsce na starym piaskowym postumencie postawiono figurę ceramiczną, która przetrwała do dzisiejszych czasów, aczkolwiek uszkodzona, bowiem pozbawiona jest dłoni z atrybutami. Analiza przedwojennych zdjęć znajdujących się w posiadaniu Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze pozwoliła po komputerowym ich powiększeniu stwierdzić, że pierwotnie święty trzymał w prawej ręce krzyż, natomiast w lewej zalakowany list. Nie znamy dokładnej daty wykonania zdjęcia, jednak w swojej pracy dotyczącej kościoła F.Liebig podaje już, że w drugiej ręce święty trzyma palmę. Mamy więc do czynienia prawdopodobnie ze zdjęciem oryginalnej figury. Uszkodzenia figury, do których doszło po II wojnie światowej były zapewne wynikiem aktu wandalizmu. Na początku lat 90-tych usiłowano zrekonstruować figurę dodając brakujące fragmenty. Zdjęcie z tego okresu zamieszcza album fotograficzny Konrada Kazimierza Czaplińskiego – „Zielona Góra", na stronie 54. Tym razem jednak w miejsce listu w lewej ręce świętego umieszczono palmę w kolorze złotym. W niewiadomym czasie zostały po raz kolejny utracone dłonie. Obecnie zachował się jedynie fragment palmy przyczepiony do lewego ramienia św. Jana Nepomucena. San zachowania rzeźby jest zły, inskrypcja jest już częściowo wytarta. Przeprowadzona przez księdza proboszcza Włodzimierza Langego renowacja wnętrza kościoła pozwala żywić nadzieję, na odnowienie w przyszłości również tej figury.

Wizerunków świętego Jana Nepomucena w naszym województwie jest znacznie więcej, przywołać tu można chociażby Nową Sól, Otyń czy Szprotawę. Sam święty cieszy się także obecnie sporym zainteresowaniem, w innych regionach Polski, czego dowodem jest znaczna liczba stron internetowych poświęconych nie tylko samej postaci świętego, ale przede wszystkim zachowanym i zaginionym zabytkom przedstawiających jego postać. Przykładem mogą być tutaj strony:
www.tomekw.px.pl/nepomuk czy
www.republika.pl/krzyze/html/b_j_nepomucen.html.

Zwłaszcza ta pierwsza dostarcza bardzo dużo materiału zdjęciowego.

Przedstawione losy jednego z zielonogórskich zabytków są charakterystyczne dla wielu innych zabytków, które dzisiaj są zagrożone nie tylko przez wandali, ale również poddane są niszczącym działaniom atmosferycznym. Stąd pilność nie tylko w ich konserwatorskim ratowaniu, ale również w opracowaniu naukowym. Dalsza działalność pracowni epigraficznej powinna odkryć kolejne pasjonujące karty naszej historii regionalnej.

Adam Górski

Bibliografia:
- Wielgus S., Duchniewski J. (red.), *Encyklopedia katolicka*, t. VII, Lublin 1997, s. 812-814.
- Dworzaczek W. (oprac.), *Genealogia – tablice*, Warszawa 1959.
- Heck R., Orzechowski M., *Historia Czechosłowacji*, Wroclaw-Warszawa-Kraków 1969.
- *Johannes von Nepomuk* [w:] *Lexikon der christlichen Ikonographie*, Bd. 7, Rom-Freiburg-Basel-Wien 1994, szp. 154-158.
- Fiebig F., *Die Pfarrkirche zu St. Hedwig in Grünberg*, Grünberg 1932.
- ks. Chełmicki Z. (red.), *Podręczna encyklopedia kościelna*, t. XVII-XVIII, Warszawa 1909, s. 356-357.
- Rynes V., *Atributy Jana Nepomuckého*, *Zpravodaj strdočeské vlastivědy a kronikářství* 4 [1969], s. 259 i nn.

Irma Engler uczęszczała do Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli w latach 1932-34. Swoje wspomnienia umieściła w artykule „Reguły przy stole Hansa Sachsa, Norymberczykowi w śląskim mieście winnym Zielonej Górze".

Małgorzata Twarowska

Zielonogórskie Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli we wspomnieniach Irmy Engler

Jerzy Majchrzak w swoich opowieściach o Zielonej Górze pisze, że w październiku 1901 r. do miasta przybyły siostry z niemieckiego Zgromadzenia Sióstr Samarytanek w Krośnicach koło Milicza z misją tworzenia tutaj nowej siedziby.

Do momentu jej wybudowania siostry otrzymały od władz miejskich zastępcze lokum w tzw. Kamienicy Helwiga, gdzie dziś mieści się gmach szkoły podstawowej przy ul. Licealnej.

Wiosną 1904 r. rozpoczęto budowę szpitala-domu z kaplicą, przedszkolem, sierocińcem i szkołą gospodarstwa domowego dla dziewcząt oraz seminarium nauczycielskiego dla wychowawczyń przedszkoli. Kompleks neogotyckich budynków, według planów wrocławskiego architekta Hansa Schuetza, stanął przy dzisiejszej ulicy Wazów, wówczas ulicy Zielonokrzyżowej naprzeciwko miejskiego cmentarza o tej samej nazwie.

Ostatnio jednak pojawiła się nowa hipoteza odnośnie założycielek całego kompleksu. Otóż okazuje się, że były nimi prawdopodobnie Diakonistki, przybyłe z Kraschnitz, z przewodniczącym pastorem Scheske i ordynatorem Wagnerem. Autorką artykułu, który ukazał się w roczniku norymberskim „Ślązak" z 1997r., jest właśnie Irma Engler, uczęszczająca do Szkoły w Domu Anny Borchers w latach 1932-34. Artykuł ten otrzymaliśmy dzięki uprzejmości dr nauk medycznych Claude.

Irma Engler pisze, że budowę i późniejszą pracę szkoły i całego kompleksu szpitalnego wspierały zamożne zielonogórzanki. Według niej mistrzem budowy był „Pappa Severing", który „znał się dobrze na swoim rzemiośle". Planował on każdą budowę począwszy od Domu Matki, poprzez Dom Kapłana, szpital, Dom

Przedszkole zgromadzenia „Bethesda" (prawdopodobnie pocz. XX wieku)

Dom Dziecka i Szkoła Pielęgniarek Dziecięcych, pocz. XX wieku

Dziecka, budynki gospodarcze, Dom Wypoczynku dla starszych sióstr Diakonistek (wyposażony w rampy dla osób niepełnosprawnych), a skończywszy na Seminarium dla Przedszkolanek. Całą pracę wykonywał z wielkim poświęceniem i ogromną radością. Wyświęcenie całego kompleksu miało miejsce w 1927 r.

Anna Borchers

Jak pisze Jerzy Majchrzak w książce o sławnych zielonogórzanach, od 1902 r. do personelu pedagogicznego dołącza Anna Borchers, ociemniała pedagog i teoretyk Wychowania Przedszkolnego. Urodziła się w 1870 r.w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku w rodzinie górniczej. Od wczesnego dzieciństwa postępowała u niej groźna choroba oczu, która w wieku kilkunastu lat doprowadziła do całkowitego ociemnienia. Pomimo tej ułomności A. Borchers bardzo chciała zostać nauczycielem.

W 1886r. dostała się do słynnej wrocławskiej szkoły dla ociemniałych, gdzie biegle opanowała alfabet Braille'a, osiągnęła znakomite wyniki w pracach ręcznych, ale przede wszystkim dała się poznać jako dobry pedagog, co pozwoliło na objęcie posady nauczyciela prac ręcznych, już na IV roku, we własnej szkole.

W 1890 r. została przyjęta do wrocławskiego Seminarium Nauczycielskiego doktora Rislego. Po trzech latach z dyplomem nauczycielskim rozpoczęła pracę jako nauczycielka w zakładzie dla dzieci niedorozwiniętych w Krośnicach koło Milicza. I stąd w 1902 r. razem z siostrami z Krośnienic trafiła do Zielonej Góry.

Tutaj powierzono jej kierownictwo pedagogiczne nad sierocińcem i przedszkolem, a od 1905r. także nad powołanym z jej inicjatywy Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli, które Irma Engler nazywa „Małym domem na zielonej drodze". Budynek seminarium usytuowany był na końcu działki „Bethesdy" (dzisiaj budynek ten znajduje się na wschodnim końcu ulicy Wazów, naprzeciwko boiska MOSiR-u), wcześniej zaś służył murarzom jako kwatera. Na potrzeby seminarium Anna Borchers opracowała wiele pism teoretycznych i podręczników praktycznego działania w pracy wychowawczej i dydaktycznej. Niektóre z nich, jak: „Prace ręczne w procesie wychowawczyni wieku przedszkolnego", „Praktyczny przewodnik metodyczny pracy przedszkolnej" czy „Z pokoju dziecięcego w szeroki świat" stały się obowiązującymi w systemie kształcenia przedszkolnego na obszarze Niemiec. Również jej zasługą było doprowadzenie z dniem 1 września 1914 r. zielonogórskiego Seminarium Wychowawczyń Przedszkoli do statusu naukowej placówki państwowej.

Cztery lata później, 6 października, zmarła w wyniku wylewu mózgowego. Irma Engler pisze, że było to w środku jej pracowitego życia, w pełni przygotowań do podróży do Królewca.

W dziesiątą rocznicę śmierci Anny Borchers oddano w obrębie kompleksu ,Bethesdy" nowoczesny gmach szkolny – Państwowe Seminarium Wychowawczyń Przedszkoli, który nazwano domem Anny Borchers. Dzisiaj w tym budynku mieści się Medyczne Studium Zawodowe im. Marii Skłodowskiej-Curie oraz siedziba Lubuskiego Stowarzyszenia im. Anny Borchers.

Zielonogórskie Zgromadzenie „Bethesda" według Jerzego Majchrzaka rozwiązano w 1941 r. Majątek zgromadzenia przeszedł na własność skarbu państwa niemieckiego. Poszczególne instytucje wchodzące w skład „Bethesdy" funkcjonowały pod swoją tradycyjną nazwą do końca drugiej wojny światowej.

„Reguły przy stole Hansa Sachsa"

Irma Engler wspomina okres szkolny bardzo sentymentalnie, opowiada jak wspaniałe otrzymała wychowanie w szkole prowadzonej twardą, ale dobrą ręką przez siostry ze stowarzyszenia. Również sam obszar „Bethesdy" określa, jako rajsko piękny (wszystko tonęło w zieleni, piękne neogotyckie budynki wspaniale współgrały z całym otoczeniem).

Wspomina również wspólne sobotnie wieczory spędzane z koleżankami, gronem pedagogicznym i ludźmi, którzy przychodzili z miasta. Śpiewano pieśni ułożone, skomponowane i wykonywane przez Zespół Matek, jedną z nich była radosna pieśń o nadejściu niedzieli: „Jutro jest niedziela – jak miło to brzmi".

Pamięta również do dzisiaj „Reguły przy stole" spisane przez szewca Hansa Sachsa, które cytując z pamięci, jak wówczas w sobotę wieczorem, wzbudzają w niej szczerą radość: „Słuchaj człowieku: jeśli podchodzisz do stołu powinieneś umyć ręce, długie paznokcie są niemile widziane, powinieneś je obciąć dyskretnie (...) nie

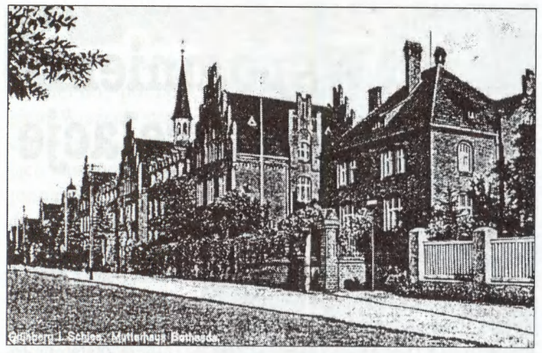

Dom Matki, pocz. XX wieku

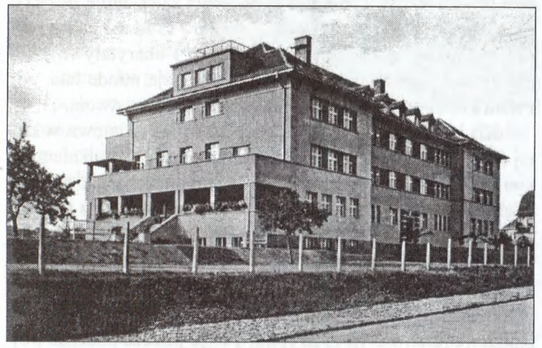

Dom Anny Borchers, 1930 r.

zapomnij o modlitwie, potem podnieś głowę i jedz. Bądź umiarkowany, nie jedz łapczywie z miski, wytrzyj sobie usta, abyś tłustymi nie pił wina, pij obyczajowo i nie pluj w kielich, nie patrz nikomu w twarz, jakbyś patrzył na jego jedzenie. Gdy ktoś siądzie obok ciebie przy stole, nie trącaj go łokciem (...) strzeż się gadulstwa przy stole, a nasycony powinieneś podziękowawszy odejść od stołu do swojej ciężkiej pracy". Potem wszyscy jedli ziemniaki w mundurkach ze świeżym twarogiem, z wyciśniętym świeżo olejem lnianym i z solą. Dla wielu z nich był to nieznany dotąd smak „pieszczący podniebienie".

Do dziś jest wdzięczna przełożonym Matkom Diakonistkom za cały ich trud i wykształcenie w Szkole dla Wychowawczyń Przedszkoli, które okazało się wówczas bardzo trafnym wyborem, o czym świadczyły statystyki urzędów pracy z lat 20. i początków 30. XX wieku: w czasie, kiedy panowało duże bezrobocie, po egzaminach końcowych wszystkie absolwentki otrzymywały pracę.

Bibliografia:

J.P. Majchrzak, *Na tropach dawnej Zielonej Góry. Opowieść o mieście*, Zielona Góra 1993.

J.P. Majchrzak, *Anna Borchers, pedagog i teoretyk wychowania przedszkolnego*, [w:] *Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku*, red. H. Szczegóła, Zielona Góra 1996.

Reguły przy stole Hansa Sachsa, Norymberczykowi, w śląskim mieście winnym, Zielonej Górze, [w:] Rocznik Ślązak, Pruskie Wydawnictwo Ojczyźniane, Norymberga 1997.

Wspomnienia i relacje

MOJE ŻYCIE NA POGRANICZU

Co roku, na początku listopada, wybieram się z dwójką moich dzieci do Nowego Kramska, na groby bliskich. Przemierzam wtedy trzydziestopięciokilometrowy odcinek łączący ostatnie 40 lat mojego życia w Zielonej Górze z latami młodości. Wiele osób pochowanych na nowokramskim cmentarzu znałam i dobrze pamiętam. Ale najdłużej zatrzymuję się oczywiście przy mogiłach rodziców – Wacława i Marii Fabisiów – przedwojennych działaczy społecznych i charytatywnych. I najczęściej wtedy przypominają mi się moje młode lata, gdy żyłam i mieszkałam z nimi oraz licznym rodzeństwem.

Kiedy miałam dwa lata wybuchła I wojna światowa, w której uczestniczył mój ojciec, walcząc w szeregach armii niemieckiej na froncie zachodnim. Mimo że staram się sięgać najdalej w głąb pamięci, nie potrafię go sobie przypomnieć z tamtego okresu. Wydawało mi się wtedy, że wojna trwa wiecznie, a tata może nigdy z niej nie wrócić. Na brak towarzystwa jednak nie narzekałam, ponieważ oprócz mamy i dziadka – prowadzących w rodzinnym Nowym Kramsku gospodarstwo rolne – miałam piątkę rodzeństwa. W 1918 roku, a więc jeszcze podczas wojny, zaczęłam uczęszczać do szkoły. Sale lekcyjne zapamiętałam z wiszących na ścianach portretów cesarza Wilhelma II i feldmarszałka Hindenburga.

„Wojna światowa" – to były wtedy dla mnie dwa nic nie znaczące słowa, bo na szczęście żadnych walk i żadnego wojska w Nowym Kramsku ani w okolicy nie widziałam. Ale dramat zgiełku wojennego miał mi się objawić już niedługo. Na początku lutego 1919 roku powstańcy wielkopolscy dotarli również i na teren Babimojszczyzny. Jako 7-letnia dziewczynka pamiętam tylko jeden dramatyczny epizod z tego okresu, kiedy to z powodu pogłosek o planach spacyfikowania przez Niemców całej wsi, ojciec, który w międzyczasie został zdemobilizowany i powrócił do domu – wraz z mamą zdecydował się na ucieczkę naszej rodziny do pobliskiego Wąchabna koło Kopanicy. Nasza ucieczka była tym bardziej dramatyczna, gdyż kilka dni wcześniej urodził się mój młodszy brat – Marian. Plotki o pacyfikacji nie potwierdziły się jednak i po kilku dniach wróciliśmy do Nowego Kramska.

Mimo zwycięskiego powstania wielkopolskiego oraz kilkudniowego – na początku lutego 1919 roku – wyzwalania Babimojszczyzny, w tym i Nowego Kramska, moje rodzinne strony znalazły się niestety tuż poza granicami nowo powstałej Rzeczypospolitej. Liczni polscy mieszkańcy tych ziem (w niektórych miejscowościach mniejszość polska sięgała 90%), pozostali więc na terenie Niemiec.

Rodzice, posiadając średniej wielkości gospodarstwo rolne gwarantowali utrzymanie całej rodzinie. Zatrudniali oni nawet kilku robotników rolnych, którzy poza pracą w polu doglądali koni i pozostałego inwentarza.

Z powodu zbyt późnego powstania szkoły polskiej w Nowym Kramsku (dopiero w 1929 roku), musiałam uczęszczać do szkoły niemieckiej. Prowadzono w niej tylko dwie godziny języka polskiego w tygodniu, zaś inne lekcje odbywały się w języku niemieckim. Tak więc swoją edukację zakończyłam chodząc wyłącznie do szkół niemieckich. Nie przeszkodziło mi to jednak już w 1929 roku zaangażować się w działalność polskich organizacji powołanych przy świeżo powstałej polskiej placówce dydaktycznej. Chodzi tu przede wszystkim o Towarzystwo Młodych Polek, ale również o Towarzystwo Śpiewu „LUTNIA" (chór świecki i kościelny), czy też Przysposobienie Rolnicze.

W ramach Towarzystwa Młodych Polek organizowano różne zabawy szkolne, letnie czy też związane ze świętami Bożego Narodzenia. Składały się na nie sztuki teatralne, śpiew, recytacje, korowody, tańce, inscenizacje, gry i zabawy. Szczególnie uroczyście obchodzono Dzień Matki oraz tzw. Obchód Gwiazdkowy (jasełka, śpiew kolęd polskich itp.). Towarzystwo Młodych Polek obchodziło swoje święto w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, a więc 8 grudnia. Po uroczystościach kościelnych wszyscy członkowie organizacji spotykali się na wspólnej imprezie połączonej z występami teatralnymi, śpiewem, odczytywaniem referatów i dyskusją. Wszystko to miało jeden główny cel: utrwalenie polskości na naszych ziemiach oraz budzenie tak niemodnego w dzisiejszych

Rodzice i rodzeństwo – pierwsza z prawej Władysława Kuska, ok. 1922 r.

czasach patriotyzmu. W związku z tym, jako sekretarka we wspomnianym Towarzystwie, miałam zawsze dużo pracy.

Natomiast w ramach Przysposobienia Rolniczego – jego kierownikiem był mój ojciec Wacław Fabiś – do którego należała (w przeciwieństwie do Kółek Rolniczych) młodzież nowokramska, zajmowałam się uprawą poletek edukacyjnych warzyw i kukurydzy. Te mini gospodarstwa warzywne oceniane były później przez specjalnie do tego powołaną komisję.

Działając w polskich organizacji miałam okazję kilkakrotnie wyjeżdżać za granicę do Polski. Do 1935 roku udało mi się odwiedzić Zbąszyń, wraz z występującym tam chórem. Byłam również w nieodległym Grodzisku Wielkopolskim, gdzie miałam sposobność zapoznać się z pracą dużych polskich gospodarstw rolnych.

Oczywiście Nowe Kramsko nie było jedyną miejscowością na naszym terenie, gdzie mniejszość polska organizowała się w różne stowarzyszenia. Także w Podmoklach Wielkich, Podmoklach Małych i Dąbrówce Wielkopolskiej (by wspomnieć tylko te trzy), działały liczne polskie organizacje, z którymi utrzymywaliśmy ścisły i częsty kontakt.

Cechą charakterystyczną naszych zabaw i spotkań było to, że uczestniczyli w nich także rodzice oraz tzw. „starsze pokolenie". Przypominam sobie również izolowanie się młodzieży polskiej od niemieckiej, spowodowane wzajemną nieufnością (bo na pewno nie barierą językową, gdyż wszyscy Polacy umieli porozumieć się w języku niemieckim).

Działalność w tychże organizacjach (uczestniczenie w zabawach, spotkaniach, wydawanie polskich gazet itp.), to była przede wszystkim świetna zabawa. Utrwalanie tzw. „polskości" odbywało się na zasadzie: „przyjemne z pożytecznym". W tych czasach innych rozrywek na wsi nie było (może jeszcze cotygodniowe mecze miejscowej drużyny piłkarskiej „Polonia" Nowe Kramsko) i dlatego lata te kojarzyć mi się będą zawsze z beztroskim życiem, pozbawionym prawie codziennych kłopotów i problemów.

W dwudziestoleciu międzywojennym, mieszkając tuż przy granicy niemiecko-polskiej, nie mieliśmy trudności z zaopatrywaniem się w podstawowe rzeczy. W Nowym Kramsku można było dostać wszystkie najpotrzebniejsze produkty żywnościowe (spożywcze, mięsne) za przystępną cenę. Na większe zakupy, typu odzież czy obuwie, trzeba było jechać do odległego o 12 kilometrów Sulechowa. Podróż do tego miasta odbywałam zwykle pociągiem odjeżdżającym ze stacji Kolesin (3 kilometry od Nowego Kramska) lub rowerem.

Natomiast w 1935 roku, za namową przybyłego do naszej wsi akwizytora maszyn do szycia „SINGER", udałam się z mamą koleją do Gubina. Przy okazji miałyśmy również w planie i inne zakupy. Kilkudziesięciotysięczny przedwojenny Gubin był wtedy największą metropolią w naszej okolicy. Nie licząc dużo wcześniejszego krótkiego pobytu w Berlinie (zwiedzanie słynnego ZOO w Tiergarten), większych miast wcześniej nie widziałam.

Duże wrażenie zrobiła na mnie przede wszystkim jakość i fachowość obsługi w gubińskich sklepach. Przy zakupie maszyny do szycia (będącej zresztą „na chodzie" do dziś), poczęstowano mnie i mamę rzadko wówczas spotykanym rarytasem – kawą naturalną. Z kolei w domu towarowym na stoisku bławatnym potraktowano nas z wielką uprzejmością, prosząc o zajęcie honorowych miejsc, zaś kilku sprzedawców na zmianę rozkładało przed nami różne wzory firan. Po raz pierwszy przy tej okazji spotkałam się z prawdziwie elegancką i fachową obsługą.

W 1935 roku zaszły w moim życiu dwie istotne zmiany. Wyszłam za mąż za nauczyciela Walentego Kuskę, ówcześnie mieszkającego w pobliskim, ale leżącym już za granicą Jaromierzu. Poznałam go na jednym ze spotkań młodzieży polskiej mieszkającej w Polsce oraz w Niemczech. Po ślubie, za namową męża, udałam się do Jaromierza i po raz pierwszy w życiu na dłużej zamieszkałam w mojej ojczyźnie. Tam urodził się nam w 1936 roku syn Zdzisław, zaś trzy lata później córka Maria. Do wybuchu wojny mąż był kierownikiem szkoły, a ja zajmowałam się wychowywaniem dzieci oraz prowadzeniem niewielkiego gospodarstwa.

Mąż cierpiał na nieuleczalną chorobę wzroku i w związku z tym nie mógł być powołany do wojska, nawet na wypadek zagrożenia wojennego. Z tego powodu – za namową miejscowego inspektora oświaty – zdając sobie sprawę o grożącym w niedługim czasie niebezpieczeństwie wybuchu wojny, zdecydowaliśmy się wyjechać (choć z uwagi na czas – sierpień 1939 r. była to właściwie ucieczka) całą rodziną z zagrożonych walkami terenów przygranicznych na wschód. W podróż wyruszyliśmy 27 sierpnia 1939 r. razem z zaprzyjaźnioną rodziną Jujków. Nasi mężowie jechali na motocyklach, a my, wraz z dziećmi, pociągiem. Wrażenie strachu przed nadciągającą nawałnicą wojenną potęgowała duża ilość wojska zgromadzona na peronach oraz całkowite zaciemnienie budynków dworcowych. W poniedziałek 28 sierpnia znaleźliśmy się w szkole w Łowiczu, gdzie mieszkaliśmy kilka dni. Cztery dni później, podczas porannej mszy w miejscowym kościele, dowiedzieliśmy się od

Pierwsza z lewej – Władysława Kuska, obok – starsze siostry (1919 r.)

księdza o spodziewanym od dawna ataku Niemiec na Polskę. Ale dopiero po południu zobaczyliśmy i usłyszeliśmy pierwsze efekty wybuchu wojny. Niemcy zdecydowali się zbombardować dworzec w Łowiczu, przy którym stał pociąg z amunicją, co doprowadziło do długotrwałych i głośnych eksplozji. Dopiero wówczas pierwszy raz odczułam strach przed skutkami wojennej zawieruchy.

Po kilkudniowych nalotach na miasto udaliśmy się wozami poza Łowicz, z nadzieją, że tam będzie spokojniej. Jechaliśmy nocą, ponieważ w ciągu dnia główne trakty były ostrzeliwane przez samoloty niemieckie. Po drodze mijaliśmy liczne kolumny wojsk polskich. W związku z tym podróż trwała długo, a ja straciłam w całym tym zamieszaniu najbardziej osobiste rzeczy. Dzięki życzliwości przypadkowo spotkanych mieszkańców jednej ze wsi (nie pamiętam już jej nazwy), udało nam się przeżyć w miarę spokojnie całą kampanię wrześniową. Przejście frontu nastąpiło dla nas prawie niezauważalnie. Żołnierze Wehrmachtu po przybyciu do naszej wioski dziwili się, że w centralnej Polsce niektórzy ludzie potrafią mówić po niemiecku. Gdy dowiedzieli się, skąd pochodzimy, śmiali się tłumacząc nam, że na zachodniej granicy nie było żadnych walk i niepotrzebnie uciekaliśmy. Podstawionymi przez Niemców samochodami zdecydowaliśmy się wracać przez Poznań do Jaromierza (trasę Poznań – Jaromierz przejechaliśmy całą rodziną na jednym motocyklu).

Po powrocie do domu dowiedziałam się, że 11 września 1939 roku aresztowano mojego ojca za działalność niepodległościową w organizacjach skupiających mniejszość polską. Skazano go następnie na pobyt w obozie Oranienburg (Sachsenhausen), gdzie zaledwie po pięciu miesiącach ojciec zmarł zamęczony przez hitlerowców.

Na przełomie października i listopada 1939 roku władze niemieckie wywiozły z całej naszej okolicy wszystkich polskich rolników na roboty w głąb Rzeszy. Została więc nas tylko garstka Polaków i Niemców, stanowiących na tych terenach przed wojna mniejszość. Pełni niepokoju o nasz dalszy los spędziliśmy listopad i grudzień (łącznie ze świętami Bożego Narodzenia) w Jaromierzu.

Niestety, zaraz po Nowym Roku, czego z niepokojem się spodziewaliśmy, w ramach likwidacji inteligencji polskiej oraz zapewne też i za poglądy „piłsudczykowskie" i antyhitlerowskie, mąż wraz z kilkoma innymi Polakami został na polecenie gestapo aresztowany i odwieziony w nieznanym mi wtedy kierunku. Następnego dnia po jego zatrzymaniu, z powodu braku jakichkolwiek wiadomości, udałam się na najbliższy posterunek policji w sąsiedniej Kopanicy. Poinformowano mnie tam, że mąż przebywa w obozie przejściowym w Komorowie koło Wolsztyna. Po kilku dniach, tracąc już nadzieję na jego powrót, pojechałam do tego obozu, z przyszykowaną wcześniej dla niego paczką z żywnością i rzeczami osobistymi, których nie zdążył zabrać z domu. Na miejscu okazało się, że nie mogę się widzieć z mężem osobiście. Obiecano mi jedynie, po uprzednim dokładnym przeszukaniu paczki, przekazanie mu jej przy najbliższej okazji. Wracając przez obóz zobaczyłam męża – jak się później okazało po raz ostatni – stojącego wraz z innymi więźniami za płotem obozowym, kilkadziesiąt metrów dalej.

Tego samego dnia, po powrocie do domu, zauważyłam niepokojące trudności z oddychaniem u mojej rocznej córki – Marii. Przywołana na pomoc niemiecka pielęgniarka (a jednocześnie nasza sąsiadka), kazała mi natychmiast zawiadomić lekarza. Najbliższy, o nazwisku Pupke, mieszkał aż w Kargowej. Doktor okazał się życzliwym człowiekiem, co nie było

Rodzina leśniczych Wojciechowskich, 1943 r.

bez znaczenia w tym czasie i udało mi się go sprowadzić telefonicznie. Po pobieżnych oględzinach mojej córki, lekarz stwierdził, że jest chora na dyfteryt i musi być natychmiast odwieziona do szpitala, gdyż inaczej na przeżycie najbliższej nocy nie ma raczej szans. Razem z nim pojechaliśmy więc do Wolsztyna, gdzie zastaliśmy tylko opiekujące się budynkiem szpitalnym polskie siostry zakonne, będące jednocześnie pielęgniarkami. Jakiś lekarz pojawić się miał dopiero rano. Dlatego doktor Pupke – mając tylko ogólną wiedzę o dyfterycie – zdecydował się sam na przeprowadzenie operacji. Po kilku dramatycznych godzinach, kiedy córka traciła już nawet przytomność, udało się ją uratować. Do końca mojego życia ten zwykły niemiecki lekarz z małego miasteczka pozostanie w mojej wdzięcznej pamięci. Po około trzytygodniowym pobycie córki w szpitalu, gdzie znajdowała się pod stałą opieką sióstr, przywiozłam ją zdrową do domu.

W tym czasie, po raz kolejny starałam się zobaczyć z mężem przebywającym w dalszym ciągu w Komorowie. Strażnicy więzienni byli jednak bezlitośni i na moje prośby odpowiadali niezmiennie, że mogą mojemu mężowi przekazywać tylko informacje na temat stanu zdrowia córki. Kilka dni później (koniec stycznia) dowiedziałam się, że grupę siedemnastu osób wywieziono z Komorowa w nieznanym kierunku. Wśród nich znajdował się także mój mąż. Jednocześnie wypuszczono z obozu kilkunastu innych Polaków, między innymi znajomego naszej rodziny. Niestety, nie chciał mnie on o niczym poinformować, prawdopodobnie z powodu strachu przed Niemcami. Do dzisiaj pozostaje więc dla mnie tajemnicą dokąd wywieziono wówczas męża i gdzie zginął.

Po tych dramatycznych wydarzeniach, straciwszy już nadzieję na rychły powrót męża, zdecydowałam się wraz z dziećmi na opuszczenie Jaromierza i przeprowadzkę do odległego o 7 kilometrów Wąchabna, do domu mojego kuzyna. Tutaj spędziłam dwa lata wojny, pomagając kuzynowi w gospodarstwie i wychowując, jak mogłam najlepiej w warunkach wojennych, moje dzieci.

W połowie 1942 roku Niemcy zaczęli wywozić z okolicy polskich rolników do Niemiec na roboty. Nie będąc pewna do końca swego losu zdecydowałam się na kolejne przenosiny. Tym razem nie była to jednak przeprowadzka ze wsi do wsi, ale na skraj Wąchabna, do znajomego robotnika leśnego i jego rodziny. Wydawało mi się, że będzie tam bezpieczniej niż w centralnej części Wąchabna. Przeczucie mnie nie zawiodło, gdyż niebawem kuzyna wraz z jego rodziną Niemcy wywieźli na roboty do Rzeszy.

W tym samym dniu hitlerowcy zaczęli sprowadzać na miejsce wysiedlonych Polaków Niemców z rejonu Rumunii (sąsiedzi nazywali ich Schwarzmeer Deutsche). Natomiast ja po pewnym czasie zostałam przydzielona przez władze niemieckie do odpłatnej pracy przy żniwach i wykopkach do jednej z takich „nowych gospodyń domowych". W momencie gdy chciała ona mnie zaangażować do szycia ubrań – odmówiłam, a gospodarz wsi przychylił się do mojej opinii, mówiąc, że to nie należy do to moich obowiązków. Później zatrudniano mnie także przy sadzeniu lasu.

W naszym sąsiedztwie mieszkała polska rodzina leśniczego Wojciechowskiego, z którą łączyła mnie bliższa znajomość. Prowadzili oni własne (trochę poza wiedzą Niemców) gospodarstwo rolne ze zwierzętami domowymi, niewielkim polem i ogrodem. Dzięki pomocy Wojciechowskich – przede wszystkim żywnościowej – przetrwaliśmy najcięższe lata okupacji.

Z czasów wojny (a dokładnie jej końcówki) mam pierwsze wspomnienie z Zielonej Góry. Pewnego razu w sprawach urzędowych, nie pamiętam już w tej chwili jakich, musiałam udać się do ówczesnego Grünberg. Z pobytu tego pamiętam jedynie dużą ilość osób przebywających na dworcu kolejowym, co zrobiło na mnie duże wrażenie. Prawdopodobnie miała odbyć się wtedy jakaś uroczystość. Sądzę tak, ponieważ gdy weszłam do pobliskiej restauracji napić się czegoś ciepłego, zastałam tam bardzo wielu żołnierzy niemieckich. Wystraszyłam się i w pośpiechu opuściłam ten lokal. Nad drzwiami restauracji przeczytałam napis: „Nur für Deutsche".

Koniec wojny to przede wszystkim chaos spowodowany wyjazdem (a właściwie ucieczką) Niemców ze wsi. Na mniej więcej dwa tygodnie przed wkroczeniem Rosjan przyjechał jakiś oddział niemieckiego Wehrmachtu angażując niektóre kobiety do pomocy przy szykowaniu żywności. Wszyscy dobrze nas traktowali, nie wyrządzali nam żadnej krzywdy, a jeden z żołnierzy radził, abyśmy wyjeżdżali razem z nimi w głąb Niemiec, ponieważ – jak się wyraził – nie ma gorszej zarazy niż „czerwoni".

Do momentu przybycia Armii Radzieckiej jeden raz zaniepokoił nas maruder bądź dezerter niemiecki, który w nocy wszedł do mieszkania prosząc o nocleg, ale po spełnieniu jego życzenia szybko z samego rana opuścił nasz dom. Widząc tego młodego chłopca pomyślałam sobie o jego matce: „Dobrze, że nie widzi swojego syna, gdy on błąka się gdzieś po nocy sam, w nieznanej mu okolicy, głodny, zmarznięty i brudny". Sąsiadów natomiast nachodzili inni dezerterzy, którzy prosili ich o ubrania cywilne. Po zrzuceniu mundurów, pozbywali się także swojej broni wrzucając ją do pobliskiego jeziora.

Armia Radziecka wkraczając do Wolsztyna, Kargowej i Babimostu ominęła w pierwszej chwili Wąchabno. Dopiero po kilku dniach jakichś oddział przyjechał kilkoma samochodami w poszukiwaniu broni. Przeszukaniu poddano także i moje mieszkanie. Jednak po kilku godzinach żołnierze odjechali w stronę Kopanicy, nie wyrządzając mieszkańcom (poza uszczupleniem zapasów żywnościowych) żadnej szkody.

Pierwsze zetknięcie się z Armią Czerwoną było niezwykle stresujące ze względu na złą opinię jaką miała ona wśród Niemców. Na całe nasze szczęście skończyło się tylko na strachu. Ale nie tylko przybycie Rosjan było dla mnie bardzo nerwowe. Cała wojna to był jeden wielki wstrząs dla mnie i mojej rodziny. Nie oszczędziła ona moich najbliższych, ale mimo licznych przeciwności losu udało mi się przeżyć wojenny kataklizm razem z dziećmi. Może dlatego, że czułam przez te lata Opatrzność Bożą, która – nie wątpię w to – pomagała mi, aby nie poddać się i nie załamać.

W 1945 roku musiałam opuścić Wąchabno, ponieważ do domu, w którym przeżyłam ostatnie lata wojny, przyjechali z tułaczki jego prawowici właściciele. Wróciłam więc po 10 latach rozłąki do Nowego Kramska, gdzie mieszkałam przez następne 19 lat.

Okres powojenny upływał na pracy w rodzinnym gospodarstwie rolnym. Stopniowo do „gniazda rodzinnego" po zawierusze wojennej powracało moje rodzeństwo. Przy takich wzruszających okazjach opowieściom i wspomnieniom nie było więc końca. Ja natomiast nie doczekałam się niestety powrotu męża, zaś dzieci – ojca. Później nasze losy potoczyły w taki sposób, że w tej chwili nikt z mojej rodziny w Nowym Kramsku już nie mieszka – wszyscy rozsiani są po całej Polsce oraz za granicą.

Z pierwszych lat powojennych zapamiętałam przede wszystkim podróż do Warszawy (1946 rok), w ramach zjazdu przedwojennej mniejszości polskiej w Niemczech. Przyjechaliśmy tam pociągiem całą grupą z terenu Babimojszczyzny. Mieliśmy tam między innymi okazję wysłuchać w sali „ROMA" referatu ówcześnie nowo mianowanego Ministra Ziem Odzyskanych – Władysława Gomułki. Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci epizod przejazdu odkrytymi ciężarówkami przez całkowicie zagruzowaną stolicę. Liczne patrole Armii Radzieckiej kontrolowały nas co kilkaset metrów, a jedna z naszych ciężarówek została nawet ostrzelana z powodu – podobno – nie zatrzymania się na żądanie żołnierzy. W wyniku tego incydentu jeden z uczestników zjazdu został ranny i umieszczony w prowizorycznym szpitalu.

Warszawa zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Tym bardziej, że miałam wtedy jeszcze w pamięci jej wygląd z 1934 roku, kiedy uczestniczyłam w zlocie młodzieży polskiej z Niemiec. Braliśmy wtedy udział w przemarszu pięknie przystrojonymi ulicami na Pola Mokotowskie, gdzie odbyła się główna uroczystość. Z mojego pierwszego pobytu w Warszawie szczególnie utkwiły mi w pamięci okrzyki warszawiaków kierowane w naszą stronę, w rodzaju: „Nie dajcie się Hitlerowi!" lub „Obalcie Hitlera!" itp.

Chrzciny córki Marii. Druga z prawej – Władysława Kuska, czwarty z prawej – mąż Walenty Kuska, marzec 1939 r.

W 1947 roku utworzono w Nowym Kramsku Dom Dziecka. Wydział Oświaty w Wolsztynie zatrudnił mnie tam (z poparciem kierownika szkoły w Nowym Kramsku – Wiesława Sautera) w charakterze wychowawczyni. W większości przebywające w tej placówce dzieci były sierotami z Warszawy, które straciły swoich rodziców w trakcie powstania warszawskiego. Z reguły były one w wieku od 6 do 15 lat.

Dziewięć lat później zlikwidowano Dom Dziecka, zaś teren po nim przeznaczono na przyszłe lotnisko (późniejszy Port Lotniczy Zielona Góra – Babimost, choć w rzeczywistości znajduje się on w Nowym Kramsku). Podobno cegły z budynków likwidowanego Domu Dziecka wykorzystano do odbudowy stolicy.

Przez siedem następnych lat prowadziłam w moim mieszkaniu, otwarty przez Samopomoc Chłopską, sklep spożywczy. W 1964 roku za namową dzieci oraz zięcia przeniosłam się na stałe do Zielonej Góry, gdzie mieszkam do dnia dzisiejszego.

Dziś, z perspektywy przeżytych lat nie uważam, aby życie moje należało do jakichś szczególnych i wyjątkowych. Wielu moich rówieśników na własnej życiowej drodze zetknęło się z bardziej dramatycznymi i powikłanymi sytuacjami. Natomiast moje koleje losu potoczyły się – można powiedzieć – jak większości Polaków w XX wieku. Są one typowym odzwierciedleniem pokrętnej historii Polski ubiegłego stulecia.

Za swój osobisty sukces uważam, z uwagi na trudne czasy w jakich żyliśmy, edukację dzieci: syna – Zdzisława, który posiada wykształcenie wyższe i przez cały okres pracy zawodowej był pracownikiem naukowym najpierw w zielonogórskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej, następnie w Politechnice i Uniwersytecie Zielonogórskim oraz córki – Marii, która z kolei posiadając wykształcenie średnie, wykonywała zawód księgowej.

Na koniec pragnę wyrazić moją wielką satysfakcję, iż miałam przyjemność, mimo różnych przeciwności, przeżyć wiele lat na pięknym pograniczu niemiecko–polskim oraz, że dane mi jest aktualnie zamieszkiwać w Zielonej Górze, a od wyborów czerwcowych w 1989 roku w niepodległej ojczyźnie.

Wspomnień Władysławy Kuski wysłuchał i opracował

Paweł Macherski

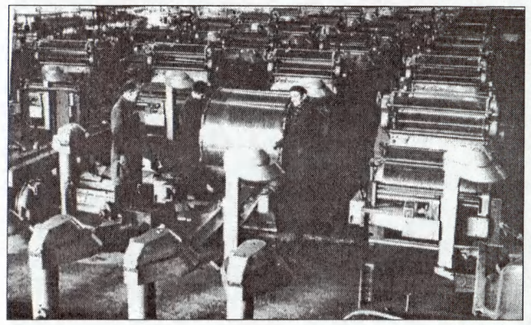

Początki fabryki zgrzeblarek w Zielonej Górze

Wywiad ze **Stefanem Mańko**

(cześć 1)

– Daniel Koteluk, Stanisław Matusiak: *Czy na początek mógłby Pan opowiedzieć jak potoczyły się Pańskie losy w czasie drugiej wojny światowej?*

– Stefan Mańka: Urodziłem się w 1927 roku. Mieszkałem w Rajewie i już w pierwszych dniach września 1939 roku zostałem zmuszony do pracy na rzecz III Rzeszy. U miejscowego Niemca pracowałem przez całą wojnę na gospodarstwie, od rana do wieczora, bez żadnej zapłaty i dlatego też znalazłem się w gronie osób pokrzywdzonych przez Rzeszę. W 1945 roku wycofując się pod naporem Armii Czerwonej Niemcy zabrali mnie do Saksonii, którą wyzwoliły wojska alianckie, oddając później Saksonię Rosjanom na mocy wzajemnych układów. Wyjeżdżający z Saksonii Amerykanie zaproponowali mi i nie tylko mi, (propozycja była skierowana przede wszystkim do ludzi młodych) możliwość zaciągnięcia się w szeregi armii na Zachodzie. Odmówiłem, ponieważ chciałem jak najszybciej znaleźć się w kraju i wrócić do rodziny. Jednak wielu moich kolegów przyjęło propozycję i wyjechało. Nie wzięli co prawda udziału w wojnie z Japonią, która niedługo później się skończyła, ale wielu z nich zginęło później na wojnie z Koreą. Ja powróciłem do Polski i 12 sierpnia 1945 roku byłem już w domu.

– D.K., S.M.: *W jaki sposób trafił Pan na Ziemie Odzyskane?*

– S.M.: W 1947 roku przyjechałem do Sudołu, gdzie mieszkała moja siostra, w poszukiwaniu spokojnego miejsca. Kierowała mną też chęć podjęcia dalszej nauki i pracy.

D.K., S.M.: *Jak to się stało, że podjął Pan pracę w Fabryce Zgrzebłarek w Zielonej Górze?*

S.M.: Wysiadając z pociągu w Zielonej Górze ujrzałem przed stacją wielkie ogłoszenie o naborze pracowników do Fabryki Zgrzebłarek na stanowisko tokarzy i ślusarzy i ofertę szkolenia w tym kierunku. Zainteresowało mnie to, bowiem mój ojciec przed wojną pracował w gorzelni, gdzie miałem okazję zobaczyć przy pracy tokarzy i zafascynowało mnie to wtedy. Jak tylko przeczytałem to ogłoszenie, to prosto z dworca udałem się do fabryki do działu kadr, gdzie powiedziano mi, że wszystkie miejsca na kurs tokarza są już obsadzone i dlatego też zaproponowano mi kurs ślusarski. Nie przypadło mi to do gustu, zrobiłem dość kwaśną minę, bowiem uparłem się, że chcę być tokarzem. W tej sytuacji z kadr wysłano mnie do kierownika zatrudnienia. Stanąłem przed nim ze swoją prośbą, a on popatrzył na mnie, i gdy obejrzał mnie – taką wychudzoną przez okupację biedotę – po krótkim namyśle powiedział: „a niech cię..., może będą z ciebie ludzie". I tak zaczęła się moja przygoda z Falubazem.

D.K., S.M.: *Ile czasu trwał kurs tokarski?*

S.M.: Przyjeżdżając tutaj miałem skończone jeszcze przed wojną pięć lat szkoły podstawowej. Sam kurs przysposobienia zawodowego trwał pół roku, a ja jeszcze w tym czasie uczęszczałem do wieczorowej szkoły podstawowej. Klasę 6 i 7 zrobiłem w ciągu roku. Zarabiałem wówczas około 8 tys., nie potrafię powiedzieć ile to na dziś jest, ale wówczas, za całą wypłatę mogłem kupić sobie garnitur.

D.K., S.M.: *Jakiego typu prace wykonywał Pan podczas kursu w fabryce?*

S.M.: Jak Panowie wiedzą, w czasie drugiej wojny światowej fabryka (jako Christ. u Co przyp. D.K. i S.M.) zajmowała się oprócz podstawowej produkcji również produkcją wojenną dla potrzeb III Rzeszy. Z tego co wiem, to produkowano tam materiały wybuchowe. Kiedy przybyłem do zakładu, to cała fabryka była pokryta siatką maskującą, a hale produkcyjne były podzielone grubymi ścianami na małe pomieszczenia, które miały zminimalizować skutki ewentualnego wybuchu. Do naszych pierwszych prac należało przystosowanie hal do produkcji, wyburzaliśmy ścianki, kuliśmy kanały pod przewody elektryczne, wywoziliśmy gruz. Warto dodać, że mieliśmy wówczas do dyspozycji tylko jeden samochód, co bardzo niekorzystnie wpływało na tempo pracy. Kiedy uporaliśmy się z tymi pracami, to dopiero wtedy zaczęliśmy normalną produkcję. Początkowo fabryka była filią zakładów Josephy I w Bielsku i funkcjonowała pod nazwą Josephy II. 21 czerwca 1947 r. Fabryka Zgrzebłarek w Zielonej Górze usamodzielniła się i od tego czasu bezpośrednio podlegała Zjednoczeniu Przemysłu Maszyn Włókienniczych.

D.K., S.M.: *Kiedy pojął Pan właściwą pracę w zakładzie?*

S.M.: Po kursie podjąłem już normalną pracę, ale pracowałem do października 1948 roku, wtedy też ukończyłem szkołę podstawową i rozpocząłem naukę w szkole średniej. W tym też czasie zostałem powołany do wojska i wysłano mnie do Siedlec, tam pełniłem służbę, ale niedługo zostałem zwolniony z przyczyn zdrowotnych. Jednak do zakładu wróciłem dopiero trzy miesiące później, bowiem tyle czasu potrzebowałem, aby odzyskać zdrowie, które mocno podupadło w czasie mojego pobytu w armii. Kiedy wróciłem, dostałem przydział na wytaczarkę bardzo wówczas zawansowaną, potrafiącą wykonywać skomplikowane elementy. Był to dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogłem przy niej pracować, czułem się kimś. W tym okresie spędzałem w zakładzie po 12 godzin dziennie, ponieważ założyłem rodzinę.

D.K., S.M.: *Jak wyglądały wówczas sprawy związane z zatrudnieniem przez zakład wykwalifikowanej kadry?*

S.M.: Początkowo było bardzo mało fachowej kadry, ale z roku na rok było coraz lepiej.

Pierwszy inżynier jakiego pamiętam był specjalistą od dróg, w ogóle nie znał się na przemyśle bawełnianym, co odbijało się głównie na normach. Pracownicy za wszelką cenę starali się zawyżyć czas potrzebny na wykonanie danej operacji, inżynierowie nie obeznani z technologią produkcji dawali się na to nabierać i dlatego też zdarzało się, że załogi wyrabiały 300, a nawet więcej procent normy. Z czasem przybywało wykwalifikowanej kadry i takie sytuacje już się nie zdarzały. Jeśli nawet ktoś przekroczył normę, to zaraz zjawiała się komisja, która tym się zajmowała, czy przypadkiem robotnik nie ma za dużo czasu na wykonanie operacji i odpowiednio to modyfikowała. Jeśli chodzi o samych pracowników to na początku również nie posiadali oni często żadnych elementarnych umiejętności, nabywali je z czasem. Nie potrafiliśmy nawet czytać rysunków technicznych, fachowcy specjalnie dla nas rysowali rysunki takie na „chłopski rozum", aby każdy z nas mógł zrozumieć o co im chodziło. Teraz to wydaje się zabawne, ale wówczas to było normą.

D.K., S.M.: *Skoro już mówimy o normach, to może mógłby Pan powiedzieć jak przebiegało tzw. „socjalistyczne współzawodnictwo pracy" w zakładzie?*

S.M.: Od samego początku była to zasadnicza sprawa. To nie była fikcja, bowiem w biurze był kalkulator, który ustalał normy. Na wykonanie danej pracy był podany dokładny czas. I tak, jeżeli określona czynność na której wykonanie, kalkulator przewidywał 6 minut, został wykonana przez danego pracownika w 3 minuty, to w ten sposób wyrabiał on 200 procent normy. Jeśli wyrobiło się tylko 100 procent normy to można było sobie w tym czasie kupić za taką pracę pieprz w sklepie. Zaś za niewykonanie normy szło się na radzie na „dywanik".

D.K., S.M.: *Może wrócimy do produkcji, kiedy zakład opuściły pierwsze zgrzeblarki?*

S. M.: Pierwsze zgrzeblarki, model CZ61, zostały wyprodukowane w 1949 roku. W tym roku wyprodukowaliśmy łącznie 45 egzemplarzy. Natomiast w latach kolejnych, to jest 1949-1951 fabrykę opuściło 306 tego typu zgrzebłarek. Był to wówczas szczyt naszych możliwości. Zgrzeblarki te potrafiły przerobić 4 kilogramy bawełny na godzinę. Warto dodać, że najnowsze modele zgrzebłarek wyprodukowane w naszej fabryce przerabiały już 10 kilogramów bawełny na godzinę. Należy zaznaczyć, że zakład poza zgrzeblarkami, zajmował się również produkcją innych urządzeń na potrzeby przemysłu włókienniczego. Poza tym w okresie konfliktu koreańskiego, asortyment fabryki został poszerzony o produkcję na potrzeby wojska. Zresztą dotyczyło to ówcześnie wielu większych innych zakładów produkcyjnych.

D.K., S. M.: *Co mógłby Pan powiedzieć o działalności partii politycznych na terenie zakładu?*

S.M.: Faktyczny monopol na działalność na terenie zakładu miała Polska Partia Robotnicza, a następnie PZPR. Natomiast brak było przedstawicieli Stronnictwa Demokratycznego czy też Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

D.K., S.M.: *Jaki był stopień uzależnienia kierownictwa zakładu od POP PZPR?*

S.M.: O tym, jak długo dana osoba pełniła np. funkcję dyrektora decydował sekretarz POP PZPR lub też wyższe instancje PZRP. To uzależnienie od PZPR tłumaczy, dlaczego tak często miały miejsce zmiany na stanowisku dyrektora naczelnego.

D.K., S.M.: *Czy dyrekcja zakładu lub członkowie PZPR starali się udowodnić, w razie nie wykonania określonych planów, że na terenie zakładu działał tzw. „wrogi element"?*

S. M.: Na terenie zakładu działał Referat Ochrony Urzędu Bezpieczeństwa, który zajmował się „tropieniem" wrogich elementów. Jego kolejni przedstawiciele, w sytuacji powstania w zakładzie, w ich mniemaniu, jakiejś dziwnej awarii powoływali komisję, która zajmowała się poszukiwaniem sabotażystów. Władze komunistyczne wciąż szukały wroga. Jeżeli ktoś nie poszedł na wiec pod pomnik, to za to, przy okazji go rozliczali. Poza tym zakład był pilnowany w sobotę i niedzielę przez zaufanych ludzi, którzy pełnili tzw. dyżury techniczne.

D.K., S.M.: *Czy pracownicy zakładu jeździli na wieś, aby zachęcać chłopów do wstępowania do spółdzielni produkcyjnych?*

S.M.: Taka głupota istniała. Chociaż nie należałem do PZPR, to stale musiałem legitymować się moim pochodzeniem robotniczo-chłopskim. Wracając do postawionego pytania muszę stwierdzić, że załoga zakładu uczestniczyła w zachęcaniu do kolektywizacji mieszkańców wsi. Z drugiej strony do zakładu trafiały wycieczki ze wsi, które miały na celu pokazać jej uczestnikom istotę sojuszu robotniczo-chłopskiego.

D.K., S.M.: *Jaka była Pana reakcja na informacje dotyczące wypadków poznańskich?*

S.M.: W tym czasie byłem na Targach Poznańskich. Pamiętam, że nie można było dojechać pociągiem do miasta, bowiem władze to uniemożliwiły . W tej sytuacji trzeba było dojść do miasta na piechotę. Nie wiem jak sytuacja wyglądała w Fabryce Zgrzebłarek, ale wiem, że robotnicy wiedzieli tylko to, co podawała władza w oficjalnych komunikatach. Nie byli oni zorientowani co tak naprawdę się tam działo. Zresztą nawet jak ktoś coś wiedział to milczał, ponieważ nie były to czasy, kiedy można było swobodnie wypowiadać swoje opinie. Za wszelkie tego typu, odmienne opinie, można było mieć poważne kłopoty. Oficjalnie załoga była zawsze przeciw wszelkim zawieruchom. Przy takich wydarzeniach normą było organizowanie przez aktywistów partyjnych marszów protestacyjnych, w których uczestniczyła cała załoga. Obecność na nich była obowiązkowa, w zakładzie pozostawało jedynie kilku pracowników do pilnowania. Tak było zawsze, także w czasie wydarzeń w 1968 roku, jak i w 1970 roku.

D.K., S.M.: *W jaki sposób Pan i Pana koledzy z pracy przyjęliście informację o dojściu do władzy Władysława Gomułki?*

S.M.: W październiku 1956 roku nocowałem w Krotoszynie. Tam też pojawił się w moim odczuciu strach, kiedy to pewnej nocy obudził mnie hałas czołgów zmierzających ku Warszawie. Po powrocie do Zielonej Góry miejsce strachu zajęła radość, bowiem pod wpływem pochlebnych opinii o nowym pierwszym sekretarzu, pojawiła się nadzieja, że może w wyniku tej zmiany będzie lepiej. Cieszyliśmy się z uwolnienia S. Wyszyńskiego, ale z czasem zrozumieliśmy, że to były tylko umizgi władzy i rewolucyjne słowa bez pokrycia. Pracowałem już wówczas w zaopatrzeniu i jeżdżąc po kraju widziałem potężne magazyny wypełnione po brzegi wszystkim tym, czego nam w zakładzie brakowało, ale przeznaczonym na eksport, ponieważ taka była polityka władzy.

D.K., S.M.: *Czy ze strony władz doszło do represji wobec pracowników biorących udział w – jak to wówczas określano – „prowokacyjnych ekscesach" o Dom Katolicki w Zielonej Górze?*

S.M.: Z jednej strony niektórzy z członków załogi na polecenie partii poszli manifestować. W rzeczywistości robili oni zdjęcia protestującym. Z drugiej strony zaś, ci co naprawdę w nich uczestniczyli zostali za to ukarani. Najbardziej znani mi „bojowi" uczestnicy otrzymali od 1,5 do 2 lat więzienia.

D.K., S.M.: *Jak został przyjęty przez załogę udział polskiego wojska w interwencji sił zbrojnych Układu Warszawskiego w Czechosłowacji?*

S. M.: Problem ten poruszano jedynie w prywatnych rozmowach. Jednak jedno jest pewne -uśmiechaliśmy się tylko, kiedy tłumaczono nam, że wieziemy zboże do Czechosłowacji.

D.K., S.M.: *Co dobrego przyniosły załodze fabryki rządy Władysława Gomułki?*

S.M.: Rządy W. Gomułki nie przyniosły ze sobą zbyt wiele dobrego. Brakowało dobrego odczucia od strony robotników. Mieli oni świadomość, że obietnice z 1956 roku nie zostały spełnione. W tym rozumowaniu utwierdzał ich ten oto fakt, że w fabryce brakowało dosłownie wszystkiego, nawet wierteł. Co gorsza, koniec lat 60-tych, to był okres wielkiej biedy dla fabryki. Z powodu rosnącej konkurencji zakład tracił rynki zbytu. Pojawiły się też inne niekorzystne czynniki, takie jak pojawienie się sztucznego włókna, które przedłużyło żywotność tkanin. Poza tym produkowano już urządzenia o dużej wydajności, które były w stanie zastąpić dwie dotychczas używane maszyny. Dla fabryki w Zielonej Górze przełomowe znaczenie miało zastosowanie w zgrzeblarce CZ66 sztywnych obić zgrzeblnych, które służyły do pokrywania elementów roboczych maszyny. Od tego czasu nastąpił znaczny wzrost wydajności w kolejnych typach zgrzebłarek.

cdn.

Na fot. montaż zgrzebłarek (il. za: *40 lat Falubazu...*, s. 35)

Zdjęcie legitymacyjne Krystyny Klęsk używane w okresie pracy w zielonogórskim Muzeum w latach 1949-1951.

Opowieść o życiu Krystyny Klęsk (1898-1977)

Wystawa biograficzna w Muzeum

Przed rokiem, od 23 stycznia 2002 roku przez miesiąc, można było obejrzeć wystawę muzealną poświęconą życiu Krystyny Klęsk. Wyeksponowano ją w cyklu wystaw oparzonych wspólnym tytułem „My Zielonogórzanie...", organizowanych przez Muzeum Ziemi Lubuskiej od kilku lat. Bohaterka wystawy do Zielonej Góry przybyła w końcu lat czterdziestych, wnosząc swój dotychczasowy dorobek życia. Na ów dorobek złożyły się jej zasługi i osiągnięcia, będące wynikiem imponującej aktywności intelektualnej, artystycznej, zaangażowania patriotycznego i postawy społecznikowskiej, na przestrzeni ponad trzydziestu wcześniejszych lat. W związku z tym ekspozycja pokazywała nie tylko wątek zielonogórski, lecz wszystkie fazy blisko osiemdziesięcioletniego życia eksponowanej postaci, uzmysławiając bogactwo i złożoność jej osobowości.

Pokaz otwierała prezentacja rodziny, zacnych mieszczan, przedstawicieli inteligencji Krakowa – dziadków, rodziców, a także innych krewnych i przyjaciół, wśród których wzrastała Krystyna Klęsk. Wizerunki uwiecznione na zdjęciach z przełomu XIX i XX w. pokazywały m.in. dziadka Krystyny Karola Klęska, profesora mineralogii na Uniwersytecie Jagiellońskim, jej ojca Franciszka Romana Klęska, który podobnie jak jego brat Adolf (znana postać bohemy krakowskiej) był lekarzem oraz matkę Zofię Klęsk z domu Wysocką (córkę powstańca styczniowego). Fotografie niewielkich dworków przybliżały wygląd domu rodzinnego, który ze względu na stanowisko służbowe ojca przeprowadzany był kilkakrotnie do małych galicyjskich miejscowości. Przedstawienie najbliższego otoczenia i atmosfery w jakiej wychowywała się bohaterka, pozwalało bardziej zrozumieć widzowi ideały kultywowane później przez nią w życiu. Los bowiem sprawił, iż bardzo wcześnie, już w wieku młodzieńczym, musiała opowiedzieć się czynnie po stronie wpajanych jej od dziecka wartości. Po okresie wczesnego dzieciństwa, spędzonego w sielskiej szczęśliwości oraz kilku latach w roli pięknej gimnazjalistki, pobierającej naukę gry na fortepianie i podróżującej z matką za granicę, jako niespełna szesnastoletnia dziewczyna włączyła się aktywnie w działania wojenne.

Wyniesiony z domu patriotyzm oraz zamiłowanie do medycyny zaowocowały tym, że z ogromnym poświęceniem pracowała w charakterze sanitariuszki Czerwonego Krzyża w szpitalach wojskowych na froncie I wojny światowej (w Wiedniu, Przemyślu, Rzeszowie, Lwowie, Sarajewie, Ilidzie w Jugosławii, Nisku). Eksponaty na wystawie były tego egzemplifikacją. Albumy z dziesiątkami zdjęć, liczne dokumenty i inne pamiątki pokazywały Krystynę Klęsk oraz jej matkę podczas zajęć szpitalnych, wśród chorych i rannych żołnierzy, którzy z wyrazami wdzięczności za opiekę wpisywali się do pamiętników obu pań. Na tym tle, jako wydzielony zespół pokazany został temat Legionów Polskich i atmosfera entuzjazmu temu towarzysząca. Widniała tam fotografia (przechowywana jako relikwia rodzinna), na której można było rozpoznać w otoczeniu personelu szpitalnego Józefa Piłsudskiego, wizytującego w Wiedniu w 1916 roku szpital nazywany polskim. Umieszczony tam został także Medal Niepodległości, którym Krystyna Klęsk (podobnie jak jej matka) odznaczona została za udział w I wojnie światowej.

Okres międzywojenny (lata pobytu w Poznaniu) zobrazowano na wystawie najpełniej, ze względu na największą liczebność przedmiotów jakie zachowały się, zarazem z powodu tego, iż były to lata najintensywniejszej, najbardziej płodnej działalności prezentowanej postaci. Pokazana ona została w wielu rolach i funkcjach, które w latach dwudziestych i trzydziestych pełniła paralelnie. Tak więc, można było oglądać ją na zdjęciach w gronie nauczycielskim oraz wśród młodzieży jako nauczycielkę rysunku i tzw. robót ręcznych kobiecych. Obejrzeć prace jej uczniów, które eksponowała ona na różnych przeglądach i konkursach. Podziwiać ją w roli aktorki teatrów Poznania, recytatorki w poznańskim radiu, gdzie również dawała koncerty i akompaniowała grając na fortepianie. Zaobserwować w środowisku akademickim Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie uczestniczyła w różnego typu uniwersyteckich zajęciach i wykładach z zakresu historii, archeologii, etnologii, historii sztuki, historii kultury, filozofii, socjologii, psychologii, muzykologii, gry na fortepianie, będąc studentką takich znamienitości nauki jak Eugeniusz Frankowski, Florian Znaniecki, czy Józef Kostrzewski. Prześledzić zarazem wyniki jej badań etnograficznych dotyczących haftu ludowego prowadzonych podczas studiów, albowiem główną dziedziną zainteresowań naukowych było dla niej ludoznawstwo. Odczytać z dokumentów jej społeczne zaangażowanie w ruch świetlicowy oraz krajoznawczy. Obejrzeć ją na fotografiach jako przewodnika wycieczek, w tym wśród zagranicznych turystów, których w kilku językach – angielskim, niemieckim, francuskim i włoskim oprowadzała po zabytkach Poznania oraz na terenie Targów Poznańskich. Widzieć w otoczeniu członków wielu elitarnych stowarzyszeń, klubów i kół, m.in. Towarzystwa Polsko-Angielskiego, Towarzystwa Polsko-Czechosłowackiego, Akademickich Kół Artystycznych, klubu filmowego. Wreszcie, na szkoleniach wojskowych, doskonalących jej umiejętności sanitariuszki na wypadek wojny, uwieńczone certyfikatami, potwierdzającymi przynależność i prawo noszenia munduru takich organizacji jak Związek Strzelecki. No i w końcu, zobaczyć ją pośród przyjaciół i bliskich osób, sfotografowaną na ulicy, na różnych spotkaniach, przyjęciach i rautach, adorowaną przez mężczyzn, zawsze dobrze ubraną, wytworną, atrakcyjną kobietę. Bogaty materiał fotograficzny na wystawie uzupełniały stroje – suknie wizytowe i balowe, liczne kapelusze oraz eleganckie dodatki.

Krystyna Klęsk w roli recytatorki poznańskiego radia, 1938.

Pierwsze dni września 1939 roku, kiedy Krystyna Klęsk zmobilizowana wyruszyła z Armią Poznań na front II wojny światowej i dostała się do niewoli, opisane zostały przez nią w wyeksponowanym na wystawie pamiętniku (praca zbiorowa pt. *Dni klęski, dni chwały. Wspomnienia Wielkopolan z Września 1939*, Poznań 1970), ujawniającym zarazem jej literacki talent. Z innych zapisków pamiętnikarskich można było się także dowiedzieć, że podczas okupacji oprócz oficjalnie wykonywanej pracy w charakterze higienistki fabrycznej, prowadziła tajne nauczanie na terenie Poznania oraz zorganizowała tajny amatorski Związek Miłośników Muzyki.

Lata powojenne stanowiły na wystawie ostatni okres aktywności bohaterki. Pokazywały ją pierwotnie jako urzędniczkę kilku urzędów poznańskich, zarazem członkinię wielu stowarzyszeń kulturalno-naukowych o przedwojennym rodowodzie, aktywną działaczkę Ligi Kobiet oraz osobę, która zafascynowała się nową ideologią. Szkolenia w jakich uczestniczyła, o czym świadczyły zachowane notatki z wykładów, skrypty i książki, którymi się wówczas otaczała, ujawniały tę fascynację. W tej części ekspozycji zaakcentowane zostały okoliczności jej przybycia do Zielonej Góry w 1949 roku, w celu objęcia stanowiska kierownika zielonogórskiego Muzeum, słowem, moment od kiedy uznać można Krystynę Klęsk za zielonogórzankę. Zaprezentowana też została jej działalność społeczna na wielu polach, potwierdzona licznymi legitymacjami, m.in. legitymacją numer jeden Polskiego Towarzystwa Prehistorycznego, Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, które współtworzyła w środowisku zielonogórskim, nawet w okresie gdy przestała pracować zawodowo. Pokazano ją również jako niestrudzonego, pomimo sędziwego wieku przewodnika PTTK, za co otrzymała Złotą Odznakę w 1969 roku. Końcowym akcentem całości była prezentacja nut utworów muzycznych – od najambitniejszych dzieł klasyków po lżejszą muzykę taneczną – stanowiących repertuar Krystyny Klęsk oraz wirtualny koncert muzyki, która prawdopodobnie była jej największą życiową pasją.

Krystyna Klęsk wraz z matką jako sanitariuszki Czerwonego Krzyża podczas I wojny światowej.

Eksponaty pokazane na wystawie oraz materiały archiwalne, dzięki którym możliwe było zrekonstruowanie drogi życiowej Krystyny Klęsk, udostępnione zostały przez p. Weronikę Lignar.

Anna Ciosk

Pierwsze powojenne dni w Zielonej Górze w relacji księdza Gottwalda

Izabela Koniuk

Problematyka pierwszych dni po wyzwoleniu Zielonej Góry zajmuje szczególne miejsce w historii miasta. Naukowo zajmowali się nią m.in. prof. Hieronim Szczególa i dr Andrzej Toczewski. Na specyficzny charakter tego zagadnienia wpływa fakt, iż opisami tego okresu zajmowali się zarówno przybyli tu Polacy-Pionierzy, jak i niemieccy zielonogórzanie. W swoim tekście pragnę oprzeć się na relacji księdza Georga Gottwalda, który w chwili wkroczenia wojsk radzieckich do Zielonej Góry był tutejszym proboszczem-dziekanem w kościele św. Jadwigi. List, w którym relacjonował on swoje wrażenia z tych dni, jest datowany na 15 kwietnia 1949 roku. Nie upłynęło więc wiele czasu od opisywanych przez księdza Gottwalda wydarzeń, tym bardziej, iż duchowny opuścił miasto dopiero w lutym 1946 roku.

Niejednokrotnie analizowano już potworności jakich dokonywała Armia Czerwona po wkroczeniu do miast i miasteczek Ziem Odzyskanych. Plądrowanie, gwałty, zabójstwa i rozboje były na porządku dziennym. Taka też sytuacja miała miejsce w Zielonej Górze. Gdy w środę popielcową 14 lutego 1945 roku wojska radzieckie wkroczyły do miasta, przebywało w nim zaledwie 4000 osób. Jak donosi ksiądz Gottwald Rosjanie twierdzili, iż plądrowali Zieloną Górę zaledwie trzy dni, choć w rzeczywistości trwało to znacznie dłużej. *Miasto pełne było pożarów, całe frontowe części ulic uległy zupełnemu spaleniu. Do połowy czerwca nie było w mieście ani światła, ani wody, a kilkanaście studni nie starczało dla wszystkich.* Zdaniem historyków, za odcięcie dopływu prądu i wody w Zielonej Górze, odpowiadał specjalny oddział SS „Brandkommando", który realizując rozkaz Hitlera o „spalonej ziemi" zniszczył ważniejsze maszyny w fabrykach, wysadził mosty i urządzenia gazowe wokół miasta, wodociągi i elektrownię. Jednakże brak wody i prądu nie był największym zagrożeniem dla pozostałych mieszkańców. Najdotkliwiej odczuwano brutalność i zwierzęcy charakter najeźdźców. *Miasto rozbrzmiewało dniami i nocami krzykami boleści cierpiących, gwałconych mieszkańców, kobiet i dziewcząt, których nie chroniło żadne prawo. Do mojego kościoła zbiegała się duża ilość kobiet, które po 20-30 razy jednego dnia były gwałcone. Mówiono mi o morderstwach na tle seksualnym, rozpruwaniach brzucha, wycinaniu intymnych części ciała, obcinaniu piersi. Trupów było mnóstwo, ciągle były pochówki.*

Los niemieckich zielonogórzanek kończył się często ich wywózką na wschód. Miały tam jakoby pomagać przy żniwach. *Po miesiącach wracały całkowicie odmienione – duchowo i cieleśnie zdemoralizowane. Wiele setek z nich do dziś nie ujrzało ponownie swojej ojczyzny.*

Jak przerażające były to dni dla pozostałych w Zielonej Górze Niemców może świadczyć fakt, iż ponad 500 osób popełniło samobójstwa. Według księdza Gottwalda w liczbie tej znajdowały się całe rodziny tutejszych znanych lekarzy, urzędników czy fabrykantów. Przyszłość ludzi bogatych, którzy zachowali jeszcze życie była z góry przesądzona. *Kapitalistów (fabrykantów), ludzi, którzy mogli cokolwiek posiadać, mężczyzn, których żołnierze podejrzewali o cokolwiek, a nawet mężczyzn, których żony i córki chciały się bronić natychmiast rozstrzeliwano lub zabijano w inny sposób.*

Nieszczęściem dla mieszkańców Zielonej Góry okazały się przechowywane tu wielkie ilości wina i innych napojów alkoholowych. Pijani radzieccy żołnierze urządzali sobie na ulicach i placach miasta prawdziwe orgie. Panował straszliwy głód, ponieważ Niemcom nakazano posiadanie tylko takiej ilości żywności, która miała im wystarczać jedynie na bieżące utrzymanie, natomiast resztę zabierali żołnierze. Wojsko konfiskowało także skarby znajdujące się w mieście. (...) *radzieccy oficerowie wyburzyli i splądrowali skarbce i wszystkie zielonogórskie banki oraz kasy oszczędnościowe. Komendant NKWD (GPU) chwalił się przede mną, jakoby w samym skarbcu znalazł ponad 6,5 centnarów złota i kamieni szlachetnych. Sam zresztą niósł w swoich wypchanych po brzegi torbach złote naszyjniki, zegarki, pierścionki i inne kosztowności. Sam pokazywał mi cenne archiwalia, które bezpowrotnie zniszczono podczas tych wydarzeń.*

Na podstawie układu poczdamskiego tereny na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej weszły w skład państwa polskiego. Według relacji zielonogórskiego duchownego 8 maja 1945 roku przybył do miasta *przy dźwiękach muzyki polski oddział kolejowy, a wraz z nim horda pijanych Polaków.* Przyjazd nowych „władców tych ziem" spotęgował cierpienia i nieszczęścia Niemców, ponieważ wszelkie rozboje, gwałty i okrucieństwa rozgorzały na nowo. Poza tym dochodziło do starć, kłótni, a nawet strzelanin między Polakami i żołnierzami radzieckimi.

Rosjanie utrzymywali w mieście komendantury wojskowe, zaś Polacy zajęli się administracją. Oczywiście niemieccy zielonogórzanie zostali zmuszeni do opuszczenia swoich dotychczasowych mieszkań, by zrobić miejsce dla nowych polskich właścicieli. Zostawiali przy tym cały dobytek, zaś sami zajmowali ubogie domy na przedmieściach.

Gehenna byłych mieszkańców Zielonej Góry dopełniła się, wraz z obwieszczeniem wiadomości, że *polski komunistyczny rząd w Lublinie wydał rozkaz błyskawicznego oczyszczenia miasta i powiatu zielonogórskiego z wszystkich Niemców.* Pozwolono zostać tutaj jedynie specjalistom i fachowcom, zaś resztę Niemców brutalnie usunięto z miasta.

Opisywana część wspomnień jest jedynie fragmentem losów niemieckich zielonogórzan jakie utrwalił ksiądz Gottwald. W swoim liście stwierdził, że będąc świadkiem tak nieprawdopodobnych rzeczy, mógłby stworzyć nawet powieść: *Żaden człowiek nie uwierzyłby i nie zrozumiałby, tylko ten kto to przeżył.*

Nie wątpiąc w wiarygodność relacji ostatniego niemieckiego proboszcza z Zielonej Góry, należy jednak zwrócić uwagę na pewne nieścisłości jego relacji. Chodzi tutaj przede wszystkim o fragment mówiący o spaleniu większości budynków, gdy tymczasem w rzeczywistości miasto nie zostało prawie wcale zniszczone. Ten subiektywizm wspomnień duchownego wywołały z pewnością emocje osobistych przeżyć jak również tragizm losu pozostałych zielonogórskich Niemców.

Bibliografia:
Szczegóła H. (red.), *Znani Zielonogórzanie XIX i XX w.*, t. I, Zielona Góra 1996, s. 83.
Toczewski A.,*Czołgi wśród winnic*, „Gazeta Lubuska" – Magazyn nr 36

List księdza Gottwalda, byłego duszpasterza w Zielonej Górze, do Pana Radcy Medycznego Dr. Groetschela, byłego urzędnika Urzędu Zdrowia w Zielonej Górze.

Rhöndorf nad Menem, 3 sierpnia 1946 r.

Mój Kochany Groetschel!

Wczoraj otrzymałem Twój list, przedwczoraj również list od Twojej małżonki, a ponieważ obydwa zawierały adres pani Marii Günther, wpierw napisałem do niej, aby ją trochę pocieszyć, dodać jej radości i nadziei, sześć stron papieru kancelaryjnego. Wierzę, że trochę się ucieszyła, mogłem jej bowiem przekazać pocieszające wiadomości z Zielonej Góry, ale o tym, jeżeli zostanie miejsce na końcu tego listu.

Tak mój Kochany przyjacielu, ja również często wspominałem nasze ostatnie spotkanie i nasze pożegnanie przy Twoim samochodzie i byłem w myślach z Wami tam w dali. Ale nie uświadomiłem sobie nigdy, aby moje pozostanie w Zielonej Górze wymagało wyjątkowej odwagi. Byłem przepełniony poczuciem obowiązku, tak że zarówno dla mnie, jak i dla całej mojej plebanii inne wyjście było niemożliwe. I gdybym dzisiaj – po tych wszystkich straszliwych przeżyciach – miał ponownie dokonać wyboru, postąpiłbym tak samo i wierzę, że właśnie tym bardziej. Nie chcę nigdy w swoim życiu utracić tego czasu, w którym dla wielu katolików i ewangelików mogłem tak wiele uczynić.

Taką jednomyślność, taką serdeczność, taką gotowość do czynu i poświęceń, jaką można było odnaleźć w tych strasznych dniach i miesiącach wśród ok. 4000 pozostałych, życzyłbym dzisiejszemu państwu niemieckiemu. [...] Co się stało z naszym narodem? Trudno dziś poznać Niemcy! Jakżesz wówczas było wspaniale, pięknie, gdy my jak bracia i siostry staliśmy razem pod straszliwym panowaniem rosyjskich kolumn wojennych! Ba – dla milionów dzisiejszych niemieckich ludzi...

Moja plebania w rzeczywistości była punktem centralnym rosyjskich wojsk okupacyjnych i władz, jak również wszystkich pozostałych Niemców. Tu się spotykali, tu szukali schronienia i układali się między sobą, wykładali swoje racje i uczyli się wzajemnie porozumienia i niejedna krzywda została oczyszczona, niejedno życzenie spełnione, niejedna łza osuszona. Miałem swoją mocną i szanowaną przez Rosjan i tym bardziej przez Niemców pozycję.

Prosiłeś mnie jednak, żeby przekazać Ci coś niecoś o ostatnich dniach Zielonej Góry, dlatego spróbuję teraz po kolei dokonać relacji. Nie wiem, w którym dniu opuściłeś Zieloną Górę. Piszesz tylko o swojej ucieczce [...]. Jednak przepływ przez Zieloną Górę straszliwych karawan uciekinierów w dniach lutego i coraz bardziej wyludniające się miasto, sam jeszcze widziałeś. W każdym razie ostatni transport kolejowy z uciekinierami opuścił Zieloną Górę wieczorem 13 lutego. Podobno jednak ten transport został już przez rosyjskie przednie oddziały pancerne ostrzelany i wpadł w ręce Rosjan w okolicach Lätnitz [*Letnicy – od tłumacza*], Christianstadt [*Krzystkowic*]. Pokrywa się to z innymi doniesieniami, że ludzie ci zostali obrabowani i umieszczeni – zatrzymani w wioskach Cosel (*Koźla*) i innych. Wszystkie wioski nad Bobrem zostały opróżnione, ich mieszkańcy przeniesieni do tyłu, to jest do Naumburg [*Nowogrodu*], Sagan [*Żagania*], jednostki przedarły się również przez lasy do Zielonej Góry.

Dr Zaun z Wupertalu w ostatnich dniach swego pobytu w Zielonej Górze, już po tym, gdy jego rodzina opuściła miasto, co wieczór przychodził do nas na kolację i potem jeszcze zagraliśmy parę partyjek skata.

Wieczorem 13 lutego już nie przyszedł, musiał zgłosić się do Volksturmu, tej samej nocy mieli wymaszerować. Dr Gleich przyszedł jeszcze we wtorek (13) po południu z Nittritz [*Niedoradzu*] , żeby się pożegnać i jeszcze raz przystąpić do św. Sakramentów. W ogóle te pożegnania w tych dniach, to było najbardziej denerwujące. Ileż to setek ludzi przyszło, aby jeszcze raz uścisnąć mi dłoń i prosić o błogosławieństwo. Wielu z nich miało przed oczami tylko śmierć, nie wiadomo było przecież, czy kiedykolwiek jeszcze mieliśmy się spotkać. Faktem jest, że jeden z ostatnich pociągów z uciekinierami z Zielonej Góry trafił na dworcu głównym w Dreźnie na ten straszny atak lotniczy, przeszło 900 mieszkańców Zielonej Góry straciło tam życie, dużo moich parafian, dobrzy, kochani ludzie. Dużo straciło swoje życie w drodze, w śniegu i zimnie. Cały wieczór i całą noc [*z 13 na 14 lutego – przyp. red.*] padał okropny i nieustający deszcz, machinalnie myślało się o potopie.

Po południu 13 lutego przedarły się pierwsze rosyjskie czołgi przez most, który jeszcze nie był wysadzony w Odernetz.

Większość Rosjan nadeszła od Bytomia nad Odrą i Głogowa szosą od Lawaldau (*Raculi*). Z południa oddziały pancerne przez Drentkau (*Drzonków*) uderzały przez Berliner Platz w kierunku północnym. Wszędzie słychać było wystrzały ciężkich dział. Noc na Środę Popielcową była okropna, przy tej okropnej pogodzie przez całą noc pędziły przez miasto samochody z głośnikami z okropnym wyciem syren. – *Ratuj się kto może! Miasto jest już okrążone przez wroga – wszystkim grozi pewna śmierć, nikt nie zostanie oszczędzony – ucieczka możliwa już tylko pieszo przez Leśniów Wielki w kierunku Gubina! Niepotrzebnie !!!*

Nie możesz sobie wyobrazić, jak denerwująco i przygnębiająco oddziaływało to na wszystkich, szczególnie na kobiety i dzieci.

Z kwadransa na kwadrans wołali mnie do telefonu wystraszeni ludzie, niektórzy cztero-, pięciokrotnie. – *Proszę księdza, co teraz mamy czynić, mamy zostać, czy wyjść na ulicę i uciekać? Proszę nam pomóc, proszę nam doradzić!* – Przez telefon słychać było rozpaczliwy płacz dzieci. Było to naprawdę niezmiernie nieludzkie ze strony ostatnich pozostałych kreatur i Hitlerjungów, żeby w ten sposób, tej strasznej nocy, tych biednych ludzi psychicznie zamęczać na śmierć. Oni, którzy w każdej chwili w swoich samochodach mogli zniknąć, mieli czelność wypędzać ludzi w okropności nocy. Nieliczni, którzy jeszcze poszli, wszyscy stracili życie, jak się okazało w następnych dniach. Co miałem tym ludziom powiedzieć, żeby ich uspokoić? Jakiej rady mogłem im udzielić przy tak wielkiej odpowiedzialności. Mówiłem po prostu: – *Ja zostaję, jak wam to zawsze mówiłem. Dziś w nocy Rosjanie jeszcze do miasta nie wejdą, a*

jutro przyjdziecie wszyscy do kościoła i na plebanię. Lekarze, policja i Volksturm są też jeszcze w mieście, cóż więc może się wielkiego stać? A zresztą, każdy musi działać według własnego sumienia. Koło 4.00 rano zadzwonili do mnie Zaun i Gleich: – *My odchodzimy i chcemy się pożegnać, Volksturm też idzie, bądź zdrów.* – Ustało również wycie syren i w mieście nastała wielka cisza. Teraz mógł się każdy jeszcze trochę wyspać. Następnego ranka święciłem Środę Popielcową w kościele parafialnym [...]. Obydwa nabożeństwa były przepełnione, przyszło również wielu protestantów. Na twarzach widać było skupienie i powagę, co zmuszało do myślenia. *Moritura Te Salutant.* Spod czoła zaznaczonym krzyżem popielcowym tak wiele oczu spoglądało z odważnym blaskiem i determinacją.

Przed nabożeństwem rozmawiałem jeszcze z panem Kuntzel, który mnie poinformował, że pozostały w Zielonej Górze członek rady magistrackiej (zapomniałem nazwiska), dr Brucks, on sam i komunista Laube spotkali się ostatniej nocy i postanowili wywiesić na ratuszu białą flagę, gdy tylko Rosjanie zbliżą się do miasta, wyjdą im naprzeciw, żeby poddać miasto i będą prosić o litość dla miasta i mieszkańców. Niestety, wszystko miało się inaczej potoczyć! W czasie nabożeństwa jeszcze raz w krótki, dodający odwagi sposób przemówiłem do wszystkich uczestników, żeby z niezachwianym spokojem i zaufaniem do Boga oczekiwać nadchodzących godzin. Przyszedł ranek, ulewny deszcz ustał, słońce starało się przebić przez chmury. Nagle, około godziny 9.00 nastąpił straszny grzmot, nikt nie wiedział co to znaczy, gdyż nigdzie nie było widać eksplozji pocisków, wreszcie doszedłem do wniosku, że to [...] kolumny dokonują wokół Zielonej Góry wysadzeń. Również pojedyncze zakłady w mieście i wartościowe urządzenia techniczne były wysadzane, gaz został wypuszczony z gazometrów i uchodził z wielkim sykiem. Mały oddział zaminowania pod kierownictwem dyrektora (Edinger?) gazociągów i wodociągów działał w mieście jeszcze do rana 15 lutego. Oddział ten poukrywał i unieruchomił wszystkie urządzenia energetyczne i wodne, tak że do miesiąca maja byliśmy pozbawieni wody, światła i gazu. Spotkałem tego dyrektora w styczniu, tj. po jego wydaleniu w Zottern. Poszukiwał żony i dziecka i przyszedł do mnie, żeby się czegoś dowiedzieć o ich pobycie. Wiedziałem tylko, że jego syn był zgłoszony jako poległy. Jemu samemu byłem zmuszony doradzić, żeby jak najszybciej zniknął z rosyjskiej strefy i z terenów przygranicznych, gdyż za jego głowę rosyjski komendant wyznaczył wysoką nagrodę, a poza tym pozostali mieszkańcy Zielonej Góry tak na niego byli wściekli, że każdy z nich natychmiast wydałby go Rosjanom.

Gdyby ten człowiek wiedział, jakie niezmierne nieszczęście przez swój sabotaż spowodował dla tego nieszczęśliwego miasta Zielonej Góry. Pomyśl tylko! Do maja włącznie brak światła, brak środków oświetleniowych, brak wody. Niewielka ilość ręcznych pomp była dalece niewystarczająca i szybko zostały wypompowane, groziły zarazy i wybuchały. My sami potrzebną wodę musieliśmy przynosić, we wszystkich możliwych naczyniach, aż z katolickiego cmentarza lub z jednego podwórka „Klietestrasse". W kilkurzędowych kolejkach ludzie stali od rana do wieczora. Okropne.

W mrokach ciemności Rosjanie mogli do woli dokazywać. Oni mieli zapałki i zapalniczki, robili sobie pochodnie z papieru albo, aby mieć widno przy rabowaniu i gwałceniu lub też, żeby z pomieszczeń wykurzyć kobiety po prostu podpalali meble i domy... Ale o tym potem.

Więc potężne detonacje spowodowane wysadzeniami trwały aż do popołudnia. Około godziny 12.00 zadzwoniła do mnie policja. – *Proszę Księdza, słyszeliśmy, że zostanie Pan w mieście? – Tak – Jednak ma Pan ostatnią możliwość, aby się z nami wydostać, w przeciwnym wypadku będzie Pan tego ciężko żałować – Ja zostaję! – My teraz odchodzimy, dajemy Panu jeszcze następujące polecenie: W. Parkhotel (Lesenerstrasse) leżą jeszcze zwłoki siedmiu poległych żołnierzy, oni muszą być, jeszcze przed wkroczeniem Rosjan, pogrzebani. My już nie zdążymy! – Co ja mam teraz w ostatniej chwili zrobić z siedmioma trupami? Miasto ma przecież swój własny cmentarz i zarząd cmentarny, proszę to polecenie tam skierować! – Wszyscy już uciekli. Niech Pan sam sobie z tym poradzi. Ma Pan przecież Polaka Goswina (Goćwińskiego), który również tu zostaje. Do widzenia!*

Sądząc po takiej rozmowie, rozmówca musiał pewnie być nazi, jednak zaraz potem do aparatu podeszło jeszcze kilku innych urzędników katolickich (Rene, May, Willi), którzy również serdecznie się pożegnali i oświadczyli, że Rosjanie są już w Lawaldau (*Raculi*) i w Heinnersdorf [*obecnie dzielnica Zielonej Góry – Jędrzychów – od tłumacza*]. Co ja mogłem zrobić?

Na razie sprawę pozostawiłem w spokoju i usiadłem do obiadu. Grzmoty detonacji na dworze trwały. Po zjedzeniu miałem zamiar jeszcze trochę się przespać, mój kapłan zadeklarował się pójść do naszego grabarza Goćwińskiego, aby z nim omówić sprawy związane z pogrzebaniem siedmiu żołnierzy. Nie było go zaledwie pół godziny, ja na chwilę zasnąłem, gdy wpadł bez ducha do mojego pokoju i krzyczał: – *Człowieku , ty śpisz, a Rosjanie ostrzeliwują już miasto artylerią!* – Ja powiedziałem: – *To są przecież tylko detonacje z wysadzeń.* – *Nie, nie* – zaprzeczył. Kiedy stał na środku cmentarza, poszukując Goćwińskiego, całkiem nisko przeleciało ponad grobami kilka pocisków i uderzyło w domy przy Bismarckstrasse!!

Wybiegłem na plac przed kościołem, rzeczywiście, pociski przeleciały nad domami i uderzyły w zabudowania przy Niederstrasse i w okolicy Ressouren Platz Berlinerstrasse i gdzie indziej. Mijając główne wejście do kościoła poszedłem w kierunku Hoffmann-Grau i zobaczyłem ludzi uciekających do dużego schronu przeciwlotniczego. Nagle, jakby wyrosła spod ziemi, pojawiła się na Niederstrasse kampania Volksturmu oraz kilku policjantów i naradzali się, czy się bronić. Krzyknąłem do nich: – *Uciekajcie czym prędzej, bo będzie z wami* źle. Byłem ubrany w sutannę i w biret, zatem natychmiast rozpoznali mnie jako księdza.

Cdn.

Stanisław Prałat

Od redakcji: większość polskich nazw wymienionych w liście miejscowości została ustalona przez redakcję na podstawie *Słownika nazw geograficznych Ziemi Lubuskiej,* W. Pasterniaka i H. Szczegóły (Zielona Góra 1963).

STANISŁAW PARA
– zielonogórski mistrz ekslibrisu

Stanisław Para jest niewątpliwie tym twórcą, który w środowisku zielonogórskim posiada największe osiągnięcia w dziedzinie ekslibrisu. Jako autor ponad 300 znaków książkowych zyskał uznanie w kraju, a także poza jego granicami, o czym świadczą przyznane mu wyróżnienia i nagrody.

Jednak nie ilość realizacji plastycznych świadczy o randze artysty, lecz ich wartości estetyczne. *Oeuvre* Stanisława Pary oczywiście takie wartości wykazuje.

Cechą charakterystyczną twórczości zielonogórskiego grafika jest specyficzne operowanie techniką miedziorytniczą. Płytki miedziane, po wykonaniu na nich rytowanego rysunku, pokrywa mianowicie farbą powierzchniowo, według zasad druku wypukłego, a nie wklęsłego. Uzyskany efekt przypomina grafikę drzeworytniczą przy zachowaniu precyzji konturu i linii miedziorytu.

Z tą techniką, stanowiącą niejako symbiozę miedzio- i drzeworytu sztorcowego, świetnie koresponduje repertuar motywów i form nawiązujący do wielowiekowego dorobku polskiej kultury, tak charakterystyczny dla świata wyobrażeń Stanisława Pary, zafascynowanego sztuką polską minionych epok. W jego ekslibrisach odnajdujemy bowiem motywy dekoracyjne z bordiury drzwi gnieźnieńskich, Chrystusa Pantokratora z sakramentarium tynieckiego, gotyckie Madonny, zabytki architektury i rzemiosła artystycznego, wreszcie „cytaty" z malarstwa. Nierzadko ekslibrisy zielonogórskiego grafika są w całości ilustracjami dzieł sztuki epok minionych, traktowanymi bardzo starannie w ich warstwie werystycznej, niekiedy znowu są elementami szerzej rozbudowanej kompozycji, której statyczność i realistyczna przedmiotowość zabytkowych motywów są charakterystycznymi znamionami stylu artysty. Dobór motywów w sposób bardziej lub mniej bezpośredni pozostaje przy tym w związku z osobą właściciela ekslibrisu, tworząc – lub sugerując – niekiedy interesujące skojarzenia.

Godna podkreślenia i uznania jest twórcza aktywność Stanisława Pary, który nie tylko realizuje liczne zamówienia na znaki książkowe i drobną grafikę, składane przez instytucje i bibliofilów, lecz uczestniczy również w licznych ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach, uzyskując odznaczenia i nagrody.

Spośród sukcesów odniesionych w kraju – z braku miejsca możemy je podać tylko w wyborze – wymienić należy uzyskanie w 1972 r. I i II nagrody za projekt znaczka pocztowego, a w roku następnym I nagrody na Biennale Plastyki w Gorzowie Wlkp.

Pierwszy ekslibris zaprojektował S. Para w 1977 r. dla Biblioteki Miejskiej w Żarach, a w trzy lata później uzyskał wyróżnienie na ogólnopolskim konkursie na ekslibris pod hasłem „Zabytki Wrocławia". W latach osiemdziesiątych odnotował w swym artystycznym kalendarium sukcesy w postaci II nagrody na ogólnopolskim konkursie na ekslibris o motywach harcerskich (1981), a także nagrody tego samego stopnia na I Ogólnopolskiej Wystawie Twórczości Absolwentów Średnich Szkół Plastycznych (1984) oraz I nagrody i nagrody specjalnej czasopisma „Odrodzenie" na ogólnopolskim konkursie ogłoszonym w związku z 40-leciem powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy (1985). Uzyskał ponadto wyróżnienia na giełdzie ekslibrisu w Rawiczu (dwukrotnie w 1981 i 1982 r.) i w I Ogólnopolskim Konkursie na Ekslibris i Małą Formę Graficzną w Lubinie (1983).

Pierwszy europejski sukces odniósł Stanisław Para, uzyskując wyróżnienie na Międzynarodowym Konkursie Ekslibrisu we włoskiej Cortonie w 1984 r. Prace zielonogórzanina wyróżniło również jury międzynarodowego konkursu na ekslibris, ogłoszonego w 1990 r. przez władze Grudziądza pod hasłem „Architektura miast kopernikowskich". Pełny sukces przyniósł mu natomiast udział w międzynarodowym konkursie na ekslibris, ogłoszonym dla uczczenia 850-lecia urodzin wybitnego perskiego poety i myśliciela (pochodzącego z Azerbejdżanu) Niżami Gandżawiego (1141-1203).

Nam, nastawionym europocentrycznie konsumentom kultury, nazwisko tego

poety zapewne nic nie mówi. Niżami był bowiem tłumaczony na język polski tylko w niewielkich fragmentach swoich utworów i publikowany sporadycznie. Tymczasem był to twórca rangi światowej. Jego eposy i bogata spuścizna liryczna inspirowały wiele pokoleń poetów, również europejskich, np. Goethego.

Na azerbejdżański konkurs, finansowany przez Ministerstwo Kultury Republiki, Azerbejdżański Związek Artystów i Republikańskie Stowarzyszenie „Książka", nadesłano w 1990 r. ponad sto prac, wśród których za najlepszą – w klasie projektów artystów

zagranicznych – uznano pracę Stanisława Pary, przyznając zielonogórskiemu grafikowi I miejsce.

Udział naszego artysty w licznych międzynarodowych wystawach sprawił, że jego nazwisko funkcjonuje od lat w obcojęzycznej literaturze fachowej, w katalogach europejskich i światowych wystaw ekslibrisu. Nie sposób, nawet ogólnie, ich omawiać. Należy jednak uczynić wyjątek dla międzynarodowego wydawnictwa, jakim jest *Ex-libris. Enciclopédia biobibliografica da arte do ex-libris contemporaneo* (Encyclopaedia Bio-Bibliographical of the Art of the Contemporary Ex-Libris). W XV t. *Encyklopedii* uwzględniony został pełny dorobek Stanisława Pary (do 1994 r.) w dziedzinie ekslibrisu. Tekst, pióra autora artykułu, zawiera charakterystykę twórczości zielonogórskiego grafika, wykaz jego 223 ekslibrisów oraz *curriculum vitae* artysty. Całość uzupełnia portret S. Pary w pracowni i 30 reprodukcji ekslibrisów – łącznie 16 stron druku.

Charakteryzowana *Encyklopedia*, to niskonakładowa, licząca zaledwie 400 egzemplarzy druku, publikacja bibliofilska, wydawana w Braga (Portugalia), przez znanego konesera światowego ekslibrisu, jakim jest Artur Mario da Mota Miranda. W każdym tomie *Encyklopedii*, która jest wydawnictwem ciągłym, Miranda prezentuje dorobek kilkunastu współczesnych twórców ekslibrisu. W tomie XV, z 1995 r., obok S. Pary jako jedynego Polaka, znalazło się 12 innych artystów z Anglii, Niemiec, Włoch, Hiszpanii, Węgier, Rosji, Ukrainy i Rumunii.

Szeroka prezentacja dorobku zielonogórskiego artysty w ekskluzywnym wydawnictwie rangi międzynaro-

dowej jest wyrazem uznania światowej opinii dla jego twórczych osiągnięć.

*

Mówimy o Stanisławie Parze jako o najpracowitszym twórcy ekslibrisu w środowisku zielonogórskim. Czy jednak nasz artysta rzeczywiście tworzy ekslibrisy? Pytanie zaskakujące, ale – po bliższym zapoznaniu się z jego dorobkiem – okazuje się w pełni uzasadnione. Artysta tworzy bowiem ekslibrisy Jana Kochanowskiego, Marii Konopnickiej oraz osób anonimowych – przykładem znak książkowy na konkurs „Zabytki Wrocławia". W twórczości S. Pary znajduje wyraz znamienna dla naszych czasów ewolucja funkcji ekslibrisu, który przestaje być znakiem własnościowym, staje się natomiast okolicznościową grafiką ulotną. Wraz ze zmianą funkcji następuje gwałtowne obniżenie poziomu artystycznego ekslibrisu, który coraz szerzej produkowany jest przez domorosłych „grafików". Ta ostatnia uwaga nie dotyczy jednak prac Stanisława Pary.

*

Artysta urodził się na Rzeszowszczyźnie we wsi Róża, w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu w 1954 r. Liceum Technik Plastycznych w Tarnowie pracował w placówkach kulturalnych w Nowej Hucie i Żarach, a w 1967 r. osiadł na stałe w Zielonej Górze. Jako plastyk-projektant i dekorator pracował w Biurze Konstrukcyjno-Technicznym, Cepelii i Muzeum Ziemi Lubuskiej. Uprawia nie tylko grafikę, lecz również malarstwo, a nawet rzeźbę.

Znaczna liczba prac graficznych S. Pary tematycznie wiąże się bezpośrednio z Zieloną Górą. Znajdujemy

wśród nich oprócz widoków starówki, przede wszystkim ekslibrisy bibliotek i innych instytucji oraz wielu zielonogórzan.

Prace naszego artysty przechowują w swych zbiorach – w Polsce: Muzeum Narodowe i Biblioteka Narodowa w Warszawie, Biblioteka im. Ossolińskich we Wrocławiu, Muzeum Ekslibrisu w Malborku, Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C.Norwida w Zielonej Górze (komplet ekslibrisów), Biblioteka Nauk Humanistycznych i Społecznych Uniwersytetu Zielonogórskiego (dawniej Biblioteka Główna WSP), Biblioteka Miejska w Żarach – za granicą: Muzeum Etnograficzne w Karditsa (Grecja), Schloss-Burg k. Weimaru, Muzeum Miejskie w Cortonie i Biblioteka w Bormio (Włochy), Biblioteka Narodowa im. Cyryla i Metodego w Sofii oraz Biblioteka w Louven w Belgii.

Grzegorz Chmielewski

Zielonogórskie czarownice

„(...) przyznajesz się, żeś działała w porozumieniu z diabłem i jemu ciało i duszę sprzedała?"

(EXTRACTUS NR 3)

KOBIETO! BOSKI DIABLE!

Wieszcz Adam Mickiewicz odważył się w takich oto słowach ująć naturę kobiecą:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Niewielu jednak wie, iż pierwszy wers tego słynnego monologu Gustawa pierwotnie brzmiał:

Kobieto! ***boski diable****! dziwaczna istoto!,*

a ponieważ dalej napisał:

Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli! (...),

więc skrupulatnie usunął określenie *boski diabeł*, gdyż, jak widać, diabelska dusza stanowiła dla Mickiewicza zbyt wielki kontrast dla natury kobiety utożsamianej z postacią anielską.

Kobieta-anioł?! Takich poglądów nie podzielali jednak ludzie XV, XVI, XVII i XVIII-wiecznej Europy. Panowało ogólne przekonanie, że *kto nie wierzy w diabła, nie wierzy i w Boga.* Jan Karłowicz stwierdza, że pogląd ten wyrósł z *głębokiej wiary w istnienie i szkodliwe działanie diabła.* Kto, jak nie kobieta, jest jedynym narzędziem grzechu w rękach szatana?! To jedynie siedlisko namiętności i zmysłów, źródło próżności i kłamliwości, stwór nieczysty, bliższy demonom niż człowiekowi. Takie oto opinie możemy znaleźć w najwcześniej wydanym w Polsce, bo w 1614 r., poczytnym dziele, zatytułowanym ***Młot na czarownice***, które ukazało się w języku polskim w przekładzie S. Ząbkowica i miało ogromny wpływ na rozwój polskich procesów o czary. Jego pierwotni autorzy, Jakub Sprenger i Henryk Institoris swoją wrogość do kobiet wyrażali w poglądach typu: *Kobieta jest bardziej okrutna niż śmierć; jej serce jest pułapką* lub *Ich słowa wydają się słodkie jak miód, a w zasadzie są bardziej gorzkie niż piołun.*

No cóż, pisali to mężczyźni, a zasmuca szczególnie fakt, że „ideę współpracy kobiety z diabłem" głosili ludzie wykształceni, w tym i autorytety władz kościelnych. Tu warto zauważyć, że wśród duchownych znaleźli się również i tacy, którzy krytykowali wiarę w pogańskie zabobony, walczyli z procesami czarownic, które to począwszy od końca XV do połowy XVIII w. stały się zbiorową psychozą i „nabrały charakteru wybitnie międzynarodowego".

PROCESY CZAROWNIC

W Polsce pierwszy proces czarownicy – Doroty Gniczkowej – miał miejsce w Poznaniu w 1544 r. Natomiast listę ofiar zielonogórskich procesów otwierają cztery kobiety spalone na stosie w roku 1640. Zielona Góra stanowiła wówczas teren Niemiec, a fakt ten jest o tyle istotny, że w XVII w. dotarły tu echa wojny 30-letniej, która rozpoczęła okres nadużyć i swawoli. Również atmosfera miasta, głównie spory wyznaniowe oraz rabunki i pożary, sprzyjały procesom czarownic. Stają się one w tym mieście zjawiskiem masowym i angażującym sądownictwo przez 3 lata, począwszy od 3 września 1663 r., do 1665 r. Ostatni protokół datowany jest na 24 marca 1665 r., od tego momentu urywa się szczegółowa relacja.

Nikt nie mógł być spokojny i pewny, że fanatyczni sędziowie nie wyciągną po niego swych szponów i nie stawią go w obliczu strasznych tortur pod zarzutem współdziałania i utrzymywania stosunków z diabłem – pisze tak w swej rozprawie traktującej o procesach czarownic W. Korcz.

Wyciągi z protokołów sądu zielonogórskiego odnajdujemy w rękopisie, którego tytuł brzmi: *Extractus: Protocolli Judicij Grunbergensis.* To jedyne zachowane i bezpośrednie źródło informacji o zielonogórskich procesach, z którego możemy dowiedzieć się o przebiegu działań procesowych, stosowanych torturach, zadawanych pytaniach i treściach odpowiedzi.

ZIELONOGÓRSKIE CZAROWNICE

Kim były owe „boskie diablice" płonące na stosie? O co je oskarżano? Czy mogły być uwolnione nawet po „badaniach popartych torturami"?

Czarownica z diabłem (wg U. Molitor, [w:] B. P. Levack, *Polowanie na czarownice w Europie wczesnonowożytnej*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991, s. 46).

Żona wachmistrza, markietanka i żony dwóch prostych żołnierzy – to pierwsze czarownice z roku 1544, otwierające listę ofiar zabobonu kończącą się na wspomnianym 1665 roku. Jedną z pierwszych ofiar XVII-wiecznych procesów była Katarzyna Funck z Łężyc. Kronikarz Reiche odnotował: *Dnia 9 stycznia 1654 roku stara Funck z Łężyc w 84 roku życia jako czarownica ścięta, a następnie spalona została.* Oskarżonej zadano 30 pytań, a jedno z nich brzmiało: (...) *przyznajesz się, żeś działała w porozumieniu z diabłem i jemu ciało i duszę sprzedała?* To samo pytanie zadano też tym, które stały się ofiarami w latach 1663-1665 (na te lata przypada apogeum procesów w mieście), m. in.: Annie Jaszko, Ewie Werner, Annie Klich, Annie Stach, Elżbiecie Grasse.

Czarownice mogły zdziałać wiele: zniszczyć zbiory, odebrać krowom mleko, rzucać urok, spowodować grabieże, pożerać dzieci i ofiarowywać je diabłu, którego były nałożnicami. O co zatem posądzane były zielonogórskie czarownice? Nade wszystko o udział w sabacie czarownic na Łysej Górze i do łączenia się, przeciwnego naturze, z diabłem, ale też o zabiegi magiczne typu: sporządzanie tajemniczej maści, smarowanie nią ciała przed lotem, rzucanie uroku na krowy i woły, przysypywanie żywności ziemią z grobu i wzmacnianie słowami. (...) *w przypadku czarownic zielonogórskich liczba prezentowanych praktyk jest dość skromna* – stwierdza K. Szkurłatowski, znawca magicznych praktyk czarownic.

Zielonogórskie wiedźmy uprawiające czary poddawano „surowym badaniom", czyli torturom, które były na tyle skuteczne, że kobiety przyznawały się do czynów, których nie dokonały. Oskarżona Anna Stach – ta na przykład, podczas tortur nie tylko przyznała się do winy, ale zaczęła wskazywać rzekome wspólniczki. Okazały się nimi kobiety, z wyższych sfer miejskich, a pamiętać należy, iż z *chwilą zaś, gdy zarzut czarostwa padł na reprezentantki wyższych sfer miejskich... uruchomiony został cały aparat wpływów i stosunków.* Nie dziwi więc zaangażowanie mężów Doroty Jeuthe i Elżbiety Apelt, którzy wystosowali pisma do sądu w obronie żon. Podobnie uczynił mąż Elżbiety Grasse – córki pastora Crucigera z Nietkowic. W piśmie odwołuje się on do poczucia sprawiedliwości, prosi też o zaniechanie tortur i dopuszczenie obrońcy. Gotowy jest nawet wpłacić kaucję za wypuszczenie żony na wolność.

Czarownice na stosie (anonimowy drzeworyt, [w:] B. P. Levack, *Polowanie na czarownice w Europie wczesnonowożytnej*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991, s. 202).

A kobiety ubogie oskarżone o czary? Co z nimi? Tu nikt nie protestował, skazane były wyłącznie na łaskę sędziów!

Wracając do czarownicy Elżbiety Grasse – jej sprawa była w centrum życia XVI-wiecznej Zielonej Góry. Wywleczona na plac straceń i spalona na stosie w 1665 r. była nie tylko ostatnią ofiarą okrutnego zabobonu, ale stała się symbolem walki o niewinność. Nie pomogły nawet słowa wypowiedziane przez Annę Stach: *Tak odpuszczam ją,* w chwili, gdy kat podpalał stos, na którym miała spłonąć. Swoje oskarżenie Stach odwołała na prośbę córki E. Grasse, ale tłum pozostał niewzruszony – odwołanie więc odrzucono.

Rok 1669 okazał się przełomowym – sporządzono raport z dotychczasowych poczynań w sprawie o czary i wydano zarządzenie pozbawiające sądy zielonogórskie prawa wydawania wyroków na czarownice. Przyczynili się do tego m.in. mężowie Jeuthe i Apelt, którzy dotarli na dwór cesarstwa i spowodowali uwolnienie żon.

Nim jednak wydano zarządzenie, procesy czarownic w Zielonej Górze zebrały swe żniwo. W ciągu kilku lat zginęło kilkanaście starych kobiet: trzy z Krępy, jedna z Zawady, siedem z Przylepu, trzy z Płotów, trzy z Raculi, cztery z Nowego Kisielina .

U ŹRÓDEŁ PROCESÓW

Wyrazem czego były opisane tutaj procesy zielonogórskich czarownic? Hipotez jest wiele. Może ślepo wierzono w zażegnanie zła w momencie, gdy płonie czarownica na stosie lub też szukano tych, którzy ponoszą winę za zarazy i anomalia pogodowe i w ten sposób chciano ratować miasto?

No cóż, niezależnie od tego co stanowiło źródło procesów, Zielona Góra za sprawą takich wydarzeń ma swoją historię, ale i cenny zabytek rękopiśmiennictwa XVII wieku, będący dokumentem obyczajów, kultury i prawa. Stosy nie zdobią rynku naszego miasta, choć po ulicach błąkają się Mickiewiczowe „boskie diablice". Tych nie ściga już inkwizytor – „łowca czarownic", pobudzany przewodnikiem dla prześladowców w rodzaju *Młot na czarownice.*

Wierzyć należy, że pytanie: (...) *przyznajesz się, żeś działała w porozumieniu z diabłem i jemu ciało i duszę sprzedała?* nie zabrzmi już nigdy w zielonogórskich salach sądowych. Wszak kobieta bywa ową diablicą, a nie tylko *puchem marnym* i *wietrzną istotą,* której życie na oczach ciekawej XVII-wiecznej gawiedzi nic nie znaczy i ulatuje w płomieniach wznieconych przez kata!

Joanna Zienkiewicz

BIBLIOGRAFIA:
Cyganek D., Myszkiewicz W., *Protokoły procesów czarownic w Zielonej Górze 1663-1665*, Zielona Góra 1992.
Janiszewska-Mincer, *Prawda i fałsz o procesach czarownic*, „Nad Odrą" 1993, nr 4, s. 5-7.
Korcz W., *Procesy czarownic w Zielone Górze w wieku XVII*, [w:] W. Korcz, *Studia z dziejów Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra 1971.
Levack Brian P., *Polowanie na czarownice w Europie wczesnonowożytnej*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991.
Mickiewicz A., *Dzieła. Utwory dramatyczne*, Warszawa 1955.
Szkurłatowski K., *Praktyki magiczne czarownic w świetle księgi sądowej Zielonej Góry z XVII wieku*, „Sobótka" 1995, nr 3-4, s. 247-243.
Szczepański, *Polskie czarownice-biedne krewniaczki swych zachodnich kuzynek*, „Mówią Wieki" 1985, nr 5, s. 17-22.

KONTERFEKTY Z DZIEJÓW ŚLĄSKA

Przedstawienia portretowe w rzeźbie i malarstwie znali już starożytni. Dopiero jednak późne średniowiecze z kształtującą się nową postawą humanistyczną przynosi dalszy rozwój tej twórczości. W XVI, a zwłaszcza w XVII wieku popularny staje się zwyczaj eksponowania wizerunków władców we wnętrzach świeckich, między innymi w ratuszach, będących siedzibami władz miejskich.

Blisko dwa lata temu Muzeum Ziemi Lubuskiej w ramach stałej Galerii Sztuki Śląska Lubuskiego zaprezentowało wystawę czasową „Konterfekty z dziejów Śląska". Ekspozycja poświęcona historii regionu ukazała zachowane portrety władców sprawujących rządy na przestrzeni kilkuset lat.

Do okresu średniowiecza nawiązuje przedstawienie Henryka Brodatego, którego księstwo należało w XIII wieku do najprężniej rozwijających się obszarów ówczesnej Europy. Ukończona w 1294 roku zielonogórska konkatedra była od początku pod wezwaniem św. Jadwigi Śląskiej, żony Henryka Brodatego. Jadwiga, patronka Śląska, od wieków symbolizowała dobrosąsiedzkie współżycie Polaków Czechów i Niemców. Księżnej, opiekunce biednych, chorych i sierot oraz założycielce wielu klasztorów poświęcono liczne, znane już w średniowieczu żywoty i biografie.

Na osiemnastowiecznym owalnym przedstawieniu widzimy Henryka Brodatego w mitrze książęcej oraz w zbroi. Obok władcy znajduje się model klasztoru Augustianów w Nowogrodzie Bobrzańskim, ufundowany przez niego w 1217 roku.

Okres rządów habsburskich nad Śląskiem rozpoczął się w 1526 roku. Rodzinie cesarskiej w naszym zbiorze poświęconych jest sześć portretów. Dwa pierwsze o charakterze reprezentacyjnym ukazują Leopolda I oraz jego małżonkę.

Dla Śląska był to trudny okres leczenia ran po niszczycielskiej wojnie trzydziestoletniej. Także w samej Zielonej Górze miały miejsce niechlubne procesy czarownic, ich skutkiem było stracenie 20 kobiet.

Leopolda I, którego przed Turkami pomógł ocalić Jan III Sobieski, anonimowy malarz przedstawił w ozdobnym płaszczu narzuconym na zbroję i z buławą w dłoni. W prawym górnym rogu znajduje się korona królewska. Jego żonę Eleonorę Pfalz-Neuburg widzimy w bogatej przyozdobionej klejnotami i koronkami sukni z prawą dłonią opartą o symbolizujące monarszą władzę jabłko królewskie.

Trzeci, mniejszy portret wyobraża ich córkę Antonię.

Od 1705 r. na krótko, koronę cesarską przejmuje najstarszy syn Leopolda, Józef I, ukazany na całopostaciowym portrecie, jako kilkunastoletni chłopiec.

Dwa kolejne obrazy prezentują kolejnego sukcesora oraz jego żonę Elżbietę von Braunschweig. Karol VI będący ostat-

Fryderyk Wielki (1712-1786), olej, płótno, XVIII w.

Eleonora Pfalz-Neuburg, małżonka Leopolda I, olej, płótno, XVIII w.

Leopold I (1640-1705), cesarz od 1658 roku, olej, płótno, XVIII w.

Henryk Brodaty (ok. 1163-1238), olej, płótno, rama złocona, XVIII w.

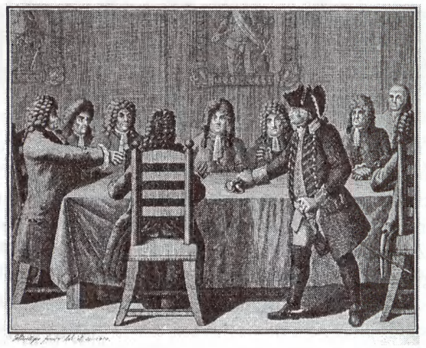

G. Boettger Senior, Wkroczenie Prusaków do Zielonej Góry w 1740 r., miedzioryt, 1810 r.

nim męskim potomkiem austriackiej linii Habsburgów, zasiadał na tronie w latach 1711-1740. Kłopoty dynastyczne przyniosły zimą 1740 roku najazd wojsk Fryderyka II, kładąc kres ponad dwustuletniego cesarskiego panowania na Śląsku.

O ile dla Habsburgów Śląsk był odległą, nie budzącą większego zainteresowania prowincją, to Hohenzollernowie traktowali go w sposób szczególny.

Leżąca na szlaku do Wrocławia Zielona Góra była często wizytowana przez najwyższych dostojników.

Moment przejęcia władzy nad katolicką Zieloną Górą przez Fryderyka w 1740 r. przedstawia miedzioryt G. Boettgera Seniora z 1810 roku.

Odmienny, bardziej reprezentacyjny charakter ma portret ukazujący Fryderyka Wielkiego jako wodza prowadzącego do boju żołnierzy z buławą w prawej wyciągniętej dłoni. W głębi malowidła scena bitwy pod murami miasta.

Na kolejnym, mniejszym obrazie widzimy popiersie znacznie starszego monarchy, z książką w ręku, upozowanego tym razem na władcę oświeconego.

Następnego Hohenzollerna zasiadającego na królewskim tronie Prus, Fryderyka Wilhelma II przedstawia na portrecie konnym litografia F. Hohbacha pochodząca z głogowskiej drukarni Carla Flemminga.

Trzy kolejne dzieła poświęcone są Fryderykowi Wilhelmowi III. Dwa z nich ukazują go stereotypowo w mundurze i w ujęciu popiersiowym. Natomiast inny, bardziej osobisty charakter ma dziewiętnastowieczny staloryt, z królem u boku umierającej żony Luizy.

Ostatni z prezentowanych portretów poświęcony Fryderykowi Wilhelmowi IV symbolizuje pomyślny okres dla rozwoju Zielonej Góry, związany ze wzrostem liczby ludności oraz postępującym uprzemysłowieniem. Industrializacja dokonała się głównie w oparciu o tradycyjne dla miasta dziedziny wytwórczości jak sukiennictwo i winiarstwo.

Wilhelm IV, podobnie jak jego ojciec, został sportretowany bardzo schematycznie w mundurze galowym na tle udrapowanej kotary z elementami krajobrazu.

To dziewiętnastowieczne wyobrażenie króla zamyka zbiór obejmujący 15 konterfektów.

Ukazane obrazy są w większości dziełami anonimowych twórców, część z nich wzorowano zapewne na wcześniejszych realizacjach, czego przykładem może być portret Leopolda I nawiązujący kompozycyjnie do dzieła Beniamina Blocha z Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Przedstawione XVIII i XIX-wieczne wyobrażenia władców ilustrują jedynie pewne etapy historii regionu, nie pretendując do całościowego potraktowania tematu.

Prezentowane zabytki znajdujące się w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze pochodzą głównie z przedwojennego Heimatmuseum oraz zielonogórskiego ratusza. Część obiektów wymaga dalszych pogłębionych prac badawczych oraz konserwatorskich.

Longin Dzieżyc

tomasz kowalski

PANORAMY DAWNEJ ZIELONEJ GÓRY — NAJSTARSZY WIDOK

Widoki miast, tworzone od końca XV wieku, miały na celu ich popularyzację i zaspokojenie ludzkiej ciekawości, pobudzonej wielkimi odkryciami geograficznymi. Z czasem takie widoki, nazywane panoramami lub wedutami, wykonywane były przez rysowników i sztycharzy także dla celów militarnych i czysto artystycznych. Upowszechniona w 2 połowie XIX wieku fotografia stała się dla rycin skuteczną konkurencją. W XX wieku panoramy miast nabrały wartości źródłowych, ważnych w badaniach historycznych, architektonicznych, heraldycznych i innych.

Dawna Zielona Góra utrwalona została na licznych widokach, wykonanych w technikach graficznych (miedzioryt, akwaforta). Jeden widok powstał jako rysunek tuszem i jeden został namalowany farbami olejnymi. Obecnie znanych jest dziewiętnaście historycznych panoram miasta*. Trzy z nich pochodzą z XVIII wieku, pozostałe z XIX. Największe i najciekawsze znajdują się w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej. W dotychczasowych publikacjach reprodukowane były tylko nieliczne widoki. Dwa najstarsze znajdujemy w przedwojennej monografii Zielonej Góry Hugo Schmidta z 1922 roku. Autor nie zajął się ich omówieniem, podając tylko czas powstania, zresztą błędnie. Błąd ten popełnili za nim inni autorzy: E. Stein, W. Posadzy, J.P. Majchrzak i wielu innych.

Najstarszy z zachowanych widoków Zielonej Góry, akwaforta nieznanego autora, powstał na przełomie XVII-XVIII wieku. Oczywiste ramy chronologiczne, wyznaczające metrykę tego przekazu, zamykają się w latach 1692-1746. Jest to czas między budową starostwa (Landhaus), figurującego na rycinie i kościoła ewangelickiego, którego tam brak. Hugo Schmidt nie zauważył nieobecności kościoła, datując sztych na rok 1780.

Jerzy Piotr Majchrzak, opisując panoramę w „Gazecie Lubuskiej" (z dnia 13.01.1999) podał przełom XVIII-XIX wieku, jako czas jej powstania. Źle określił także punkt widokowy, z którego artysta rysował panoramę miasta, podając Srebrną Górę lub Wzgórza Piastowskie. Określenie Srebrnej Góry jako punktu widokowego jest jeszcze do przyjęcia, natomiast Wzgórz Piastowskich jest błędne. Jego uwadze umknął ponadto fakt, że na rycinie figuruje starsza, wysoka wieża kościoła św. Jadwigi, sprzed zawalenia w roku 1776. Uznał, że rysownik puścił wodze fantazji, nadając wieży smukły, niepodobny do dzisiejszego kształt. W dalszym opisie J.P. Majchrzak myli budynek poczty przy placu Pocztowym z budynkiem poczty konnej, lokalizując obiekt na zachodnim krańcu ulicy Jedności. Jest to miejsce bardzo odległe, wówczas peryferyjne, gdy tymczasem na sztychu poczta (das alte Posthaus) znajduje się obok innych budowli śródmieścia, między ratuszem a kościołem Polskim.

Jak już wcześniej wspomniano, nieznany jest autor ryciny. Mimo że brak jest także daty jej powstania, to pewne cechy formalne, przypominające sztychy Meriana, odpowiadają bardziej tego rodzaju dziełom z XVII, niż z XVIII wieku. Ponieważ na rycinie występuje budynek starostwa, wzniesiony w 1692 roku, mogła ona powstać pod koniec XVII bądź na początku XVIII wieku.

Obraz przedstawia panoramę Zielonej Góry, widzianą od południowego wschodu. Obejmuje obszar starego miasta, od obecnego placu Słowiańskiego, po południową część ulicy Żeromskiego. Jako punkt widokowy uznać można rejon parku pomiędzy ulicą Twardowskiego a Sowińskiego. Na pierwszym planie widać krawędź pagórka, za którym z lewej strony rozciąga się obniżenie parku Sowińskiego, z płynącym strumieniem Złotej Łęczy. Nad strumieniem stoi duży budynek mieszkalno-gospodarczy, a za nim dwie stodoły i owczarnia. Z prawej strony widać wzniesienia porośnięte winoroślą oraz wijące się koryto drugiego strumienia, kilka budynków gospodarczych i grupy drzew.

Na drugim planie zespół zabudowy miejskiej tworzy zwartą grupę budynków, wśród których wyróżniają się zaakcentowane wieżami bryły kościoła parafialnego, ratusza i bramy Nowej, a także kościoła Polskiego, szpitala i starostwa (Landhaus). Murów obronnych nie widać, bo zasłania je liczna zabudowa mieszkalna przedmieścia Na Piasku oraz ulic Licealnej, Drzewnej i Ciesielskiej. Na głębokim planie tło panoramy tworzą, porośnięte grupami drzew pagórki, nad nimi zaś obłoki. U góry na szarfie napis: *Grünberg in Niederschlsien.* Nad czołowymi budowlami znajdują się cyfry arabskie, odnosząc się do legendy umieszczonej w prawym górnym rogu ryciny: 1. Die Pfarr Kirche (kościół parafialny), 2. Das Rath Haus (ratusz), 3. Die Polnische Kirche (kościół Polski), 4. Das Hospitall (szpital), 5. Das Land Haus (starostwo), 6. Das alte Posthaus (stara poczta), 7. Das neue Thor (brama Nowa). Na rycinie opisano też strony świata: Mitternacht (północ), Mittag (południe), Morgen (wschód), Abend (zachód).

Analiza panoramy w kontekście wzajemnego położenia znaczniejszych obiektów pozwala przyjąć, że widok miasta jest realistyczny, wykonany z natury. Kiedy jednak oględzinom poddamy kościół parafialny św. Jadwigi, rodzi się wątpliwość zarówno, gdy chodzi o bryłę budowli, jakby odwróconą ze wschodu na zachód, jak też usadowienie wieży od niewłaściwej, południowej strony. Jest to jedyny znaczący błąd dostrzegalny na rycinie. Powstał on być może wskutek niedokładnego bądź mylnego odczytania szkicu, który służył grafikowi do opracowania panoramy. Nie wiemy przy tym, czy ów szkic wykonał sam autor akwaforty, czy też korzystał z rysunku innego artysty, co często się zdarzało.

W panoramie miasta dominują dwa obiekty – ratusz i kościół parafialny św. Jadwigi. Ratusz, z widocznym późnogotyckim szczytem schodkowym, ma wieżę ośmioboczną, z baniastym hełmem o dwu latarniach, zwieńczonym kulistą gałką i chorągiewką. Jest to zapewne hełm, zachowany w kształcie do dzisiaj. Kościół ma wieżę bardzo podobną do ratuszowej, wzbogaconą tylko krzyżem. W centrum miejskiej zabudowy widoczna jest wieża bramy Nowej, zwieńczona baniastym hełmem z latarnią i chorągiewką. Dokładnie, bo w nie zabudowanej przestrzeni przedstawiony został kościół św. Trójcy, zwany Polskim, usytuowany na ówczesnym cmentarzu, a dziś placu Słowiańskim. Budowla konstrukcji szachulcowej ma wieloboczne zamknięcie od wschodu. Stojący na tym samym

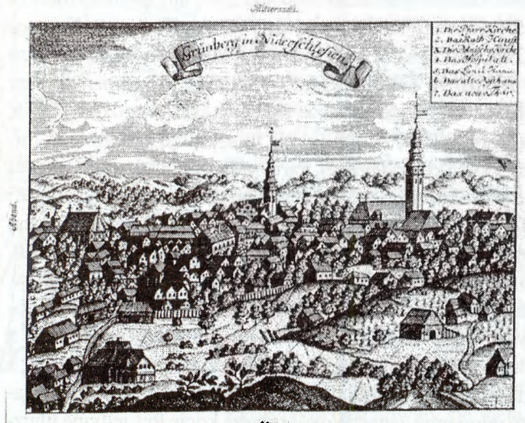

placu, lecz bliżej ulicy Moniuszki, ówczesny szpital, przedstawiony został jako niewielki budynek z wieżyczką w kalenicy. Widoczny jest właściwie tylko jego dach, co sugeruje, że położony był w obniżeniu. Zachowany w niezmienionej bryle do czasów obecnych budynek starostwa, przy ulicy Sikorskiego 8, rysownik przedstawił bardzo wiernie, jako obiekt piętrowy, z dwuspadowym dachem, mającym w elewacji wschodniej po pięć okien w obu kondygnacjach i po trzy w elewacji południowej. Tak samo wygląda on obecnie.

Omówiony tutaj najstarszy widok Zielonej Góry jest cennym dokumentem ikonograficznym, informującym o wyglądzie miasta odbudowanego po zniszczeniach wojny 30-letniej. Panoramiczne ujęcie prezentujące miasto ze znacznego oddalenia, ograniczyło jednak wartości poznawcze tego przekazu, gdyż podmiejskie budynki i drzewa pierwszego planu mocno przesłoniły stare centrum w obwarowaniach. O wiele więcej danych dostarcza kolejna chronologicznie panorama Zielonej Góry z połowy XVIII wieku, ale to już odrębny temat do następnego opisu.

* Oprócz panoram istnieją również ryciny pojedynczych budowli m.in. konkatedry św. Jadwigi.

Jak toczy się chwała Zielonej Góry

„Tadeusz Kuntze zwany Koniczem... urodził się w Zielonej Górze. Małym spokojnym śląskim miasteczku sukienników i winiarzy, od wieków zatopionym wśród winnic, ogrodów pól i lasów".

Taki arkadyjski obraz miasta przedstawił Longin Dzieżyc, komisarz wystawy prac sakralnych Konicza w maju 1998 roku. Oprócz ekspozycji w Muzeum przed gmachem wmontowano wówczas także płytę pamiątkową poświęconą malarzowi. Dzieło z brązu wykonał gorzowski plastyk Andrzej Moskaluk, transponując autoportret Konicza na tle ruin Wiecznego Miasta. Duch Tadeusza Kuntze-Konicza zagościł w jakże odmienionej od czasów jego dzieciństwa Zielonej Górze. Nieomylnie rozpoznałby ten obszar, w którym poruszał się w okresie swego dorastania, jako że było to istotnie małe miasteczko otoczone murami. Odległość od bramy, zamykającej miasto mniej więcej na wysokości ulicy Żeromskiego, do drugiej klinczującej wejście, a zlokalizowanej przy ulicy Sobieskiego, można było pokonać niespiesznym krokiem poniżej pięciu minut. Dwie budowle były wówczas w mieście. W rynku stał ratusz, znacznie mniejszy niż obecny. Była to ceglana, gotycka budowla ze schodkowymi szczytami, być może z kamiennym portalem i na pewno z 50-metrową wieżą, z której od przeszło stu lat przed jego urodzeniem, czas miastu odmierzał zegar. Wokół ratusza kocie łby, jedynie uliczki prowadzące do kościoła pod wezwaniem Św. Jadwigi nie tonęły w błocie. Kościół dla chłopca stał w mieście od zawsze. Pięć wieków wstecz to był czas niewyobrażalny. Wysoka wieża spinała surową ceglaną budowlę i nie bardzo było wiadomo, która jest wyższa. Czy ta kościelna, czy ta ratuszowa? Przy kościele był cmentarz, stale podmokły, woda podskórna wypełniała grób zanim złożono w nim nieboszczyka. Zapewne nie cmentarz z dramatycznie wyglądającymi pochówkami, ale winiarnia ratuszowa była miejscem jego odwiedzin, i to nie w celach o jakie w pierwszej chwili byśmy go posądzali, a dlatego, że muzykował w niej jego dziadek, a także ojciec. Od przeszło 100 lat zbierali się tam piwosze i amatorzy wina. Winogrodnicy i piwowarzy to była mieszczańska siła tego miasta, bardziej widoczna aniżeli bogaci sukiennicy. Bogactwo było czytelne na fasadach kamieniczek, szczególnie tych murowanych przy rynku. W większości domy były drewniane, nie wszystkie kryte dachówką czy gontem, znaczna część miała czapy ze słomianej strzechy. Już wtedy za miastem powstawały przedmieścia – przy drogach prowadzących do Krosna, Głogowa i Świebodzina, gdyż ciasnota w mieście była trudna do wytrzymania, a i warunki związane z czystością przedstawiały wiele do życzenia. Z tego miasteczka, jak pisze Longin Dzieżyc, pochodzi „jeden z najwybitniejszych polskich malarzy XVIII wieku". Poza tym, co za szok? Kraków, Hiszpania, Rzym, niezbadane są wyroki boskie. Aby jednak nie sprowadzać Zielonej Góry w tym kontekście do roli ciemnej, zaściankowej prowincji trzeba przyznać, ze w sąsiedztwie najbliższych miast prezentowała wizerunek wymagający szacunku i to z powodów raczej ekonomicznych. Bujny rozwój Zielona Góra zawdzięczała handlowi oraz rzemiosłu. Wełnę sprowadzano z Polski i w tamtym kierunku, zresztą nie tylko, szły towary. Zezwalał na to nadany miastu przywilej z 1504 roku przez namiestnika księstwa głogowskiego, Zygmunta Jagiellończyka, późniejszego króla Polski na tronie krakowskim. Nie wiemy dlaczego i z jakiego powodu Tadeusz Kuntze-Konicz, czy odwrotnie Konicz-Kuntze, opuścił Zieloną Górę. Może wydarzenia wojny śląskiej o tym zadecydowały (1740-1742), może waśnie religijne pomiędzy protestantami a katolikami? Nie możemy także wykluczyć powodu ściśle osobistego, którym kierowali się jego rodzice. W tym stanie badań jest to nadal decyzja nie wyjaśniona.

Od narodzin Konicza do roku 1945 minęło 218 lat. Wróciliśmy my, Polacy na Ziemie Odzyskane, łącząc się z jego poczuciem narodowym z usprawiedliwieniem historiograficznym odnotowanym w Memoriale Polskiego Związku Zachodniego z roku 1945 skierowanym do Ministerstwa Ziem Odzyskanych:

– „Polska wróciła na dawne ziemie macierzyste zrabowane jej w dziejach zaborczością niemiecką, powrót ten jest sprawiedliwością dziejową".

Siedemset lat oddzielało nas od piastowskich korzeni. Wtedy my, dzisiaj nazywani pionierami, w tamtych heroicznych czasach poszukiwaliśmy każdego śladu polskiego, w zabytkowych budowlach, w zakurzonych pergaminach, w nazwach ulic oraz miejscowościach, wsiach o 1000-letniej metryce, w śpiewnikach – słowem, od archeologii i etnografii aż po aktualne racje polityczne. Toteż książka Janusza Koniusza, uznanego w kraju poety (Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielona Góra 1960) – *Taddeo Polacco z Zielonej Góry* przyjęta została z wyjątkowym zaciekawieniem, rodząc społeczne i kulturalne konsekwencje. Literacki tekst, wzbogacony ilustracjami, edytorsko z pietyzmem opracowany przez Alfonsa Bogaczyka, kończy się słowami:

– Zielona Góra wydała malarza, który imię Polski, jeszcze raz rozsławił pod lazurowym niebem Włoch. Było wiele nici, które wiązały z Polską to miasto, tak wcześnie wypadłe z jej granic. Życie i twórczość Tadeusza Konicza jest tą najgrubszą najmocniejszą nicią.

Byłem wówczas Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. Mam znaleźć dom, w którym urodził się Konicz. Z lisią przebiegłością tłumaczy mi się, że jak nie można inaczej, to tak na oko, w przybliżeniu. Halina Byszewska (nazwisko panieńskie) konserwator po Toruniu, ma pojechać do Rzymu i robić kopie.

W Lubuskim Towarzystwie Naukowym, parę lat przed Praską Wiosną, Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze podejmował delegację komunistów włoskich. Byłem wówczas sekretarzem Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Delegacja, którą gościliśmy, pochodziła z jakiegoś miasteczka w Umbrii. Rządzili tam, gdyż wygrali lokalne wybory w Gubbio. Perugii, a może Spoleto. Na pewno nie z Asyżu, dzięki Biedaczynie Świętemu Franciszkowi i także nie w Orvieto, gdyż katedra z wyobrażeniem sądu ostatecznego hamowała elektorat przed wyborem ateuszów. Włoskiej delegacji miałem opowiadać o historii i dynamicznym rozwoju Zielonej Góry. Taki paruminutowy rys o rozwoju miasta, w którym też rządzą komuniści. Poświęciłem ten czas na zachwyt sztuką Umbrii. Przypomniałem włoskim komunistom jak to Michał Anioł malując sklepienie sykstyńskie, wzorował się na freskach Luki Signorellego, z bocznej nawy katedry XIII-wiecznej, wzniesionej na wzgórzu, ongiś etruskiej osady. Gdy włoska delegacja spuchła z dumy poruszyłem wątek lokalny, patriotyczny, czerpiąc wiedzę z literackiego i naukowego dokonania Janusza Koniusza. Wszyscy byli bardzo zadowoleni, tak bardzo, że Jan Lembas delegował mnie na niezbędny czas do Italii, abym zapoznał się z twórczością Konicza u samego źródła. Delegacja włoska przyrzekła opiekę i daleko idącą pomoc. Chyba jednak zbyt długo trwała mitręga urzędnicza, bo Czesi nas wyprzedzili w określeniu i nazwaniu przez partię włoskich komunistów, suwerennych i demokratycznych państw należących do bloku rozwijającego się pod opieką Związku Radzieckiego. Komuniści się pogniewali, ci z delegacji przegrali wybory, Halina Byszewska do Rzymu nie pojechała, a ja... nieważne.

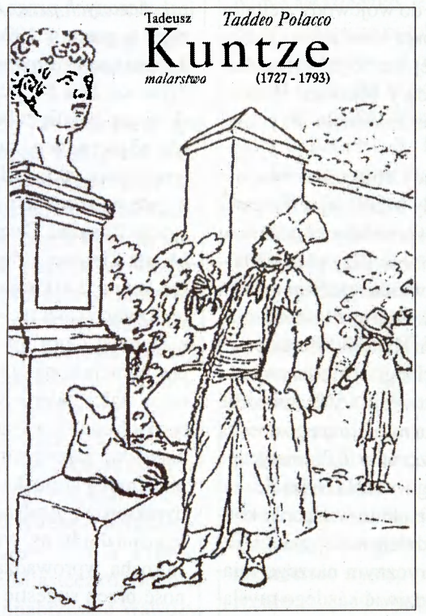

W roku 1976 zostałem najważniejszym urzędnikiem w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Muzeum Historii Miasta nadal było problemem do rozwiązania. Obecny dyrektor dr Andrzej Toczewski, wówczas magister, pracownik Muzeum, przygotowywał program dla tej placówki. Dwa lata później prezydent miasta Stanisław Ostręga przeznaczył na Muzeum Historii Miasta budynek-ruderę przy publicznych szaletach na placu Wielkopolskim 1. Ta kamieniczka o dwuspadowym dachu, zwrócona szczytem do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, była poświadczeniem, że śmietnisko, rudera i rozpadający się szalet, jakoś się komponują w zabudowie tuż obok rynku, ale równocześnie dowodem na to, że nie wszyscy to akceptują. Wzdragałem się przed przyjęciem tej roboty, ale Stanisław Ostręga okazał się tak wielkim entuzjastą i takim przyjacielem, że ostatecznie muzealnicy wzięli na swe barki i muzealną nędzę finansową ten fragmencik miasta do uporządkowania. Zewsząd obiecywano pomoc. Na pierwszy ogień poszły miejskie, zbudowane w okresie międzywojennym, a więc jak by nie było zabytkowe, ustępy. Mocno zabytkowe. Ziemie trzeba było wybrać do calca, gdyż amoniak w upalne lato dusił przechodniów. Następnie dr Stanisław Kowalski rozwarstwił budynek określając jego fazy rozbudowy. Badania archeologiczne przeprowadził znakomity archeolog, teoretyk, lecz przede wszystkim praktyk mgr Edward Dąbrowski. Mgr Wiesław Myszkiewicz zgromadził dostępne archiwalia i ikonografię miasta. Dowiedzieliśmy się, że obiekt w średniowieczu był wiezieniem pod nazwą „Dom Kijów". Oddzielała go od zwartej zabudowy struga „Złota Łącza". Odkryto sklepiony kolebą piwniczny loch, w którym – co później udowodnił dr Stefan Dąbrowski – trzymano zielonogórskie czarownice. Zachował się średniowieczny ustęp z otworem do miejskiej fosy, także jednoosobowy karcer ze stożkową posadzką. Potężne haki w ościeżach sugerowały, że był zamykany drewnianymi drzwiami, z których pozostała jedynie kratka jako wizjer. W czasach pruskich budynek rozbudowano także z tradycyjnie pojętą mentalnością, na nowocześniejsze więzienie z celami ogrzewanymi z korytarza. Zachowały się metalowe łóżka przypinane na dzień do ściany oraz metalowe siatki zabezpieczające ceglane piece od strony uwięzionych w celach. Wszelkie prace budowlane nadzorował inż. arch. Henryk Tarka, także w tym czasie pracownik Muzeum. Prace podjęto po przedstawieniu raportu zespołu naukowo-badawczego prowadzonego przez prof. dr hab. Zygmunta Szafrana, o przydatności obiektu na cele muzealne wraz z sugestiami rozbudowy i podniesienia bryły obiektu. Dokumentację techniczno-architektoniczną wykonał zespół pod kierunkiem mgr. arch. inż. Krzysztofa Berezowskiego. Budynek powiększono o jedną kondygnację i wydłużono o działkę zajmowaną przez publiczne szalety. Po usunięciu śmieci z wnętrza, o 90 centymetrów obniżył się rzut przyziemia ukazując ceramiczną posadzkę. Nadzór nad zachowaniem zabytkowych reliktów we wnętrzu powierzono artystce Marii Antoniak z Muzeum Legnickiego, autorce wnętrza i wystawy w XIII-wiecznym kościele na Polu Legnickim. Kościółek był świadkiem mongolskiego najazdu na Europę w 1241 roku.

Dwunastego grudnia 1987 roku Muzeum Ziemi Lubuskiej zwraca się do dr Mariana Sołtysiaka, Dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie „z gorącą prośbą o roz-

patrzenie możliwości przekazania dzieł Tadeusza Konicza..." Docenta dr Andrzeja Gruszeckiego, Generalnego Konserwatora Zabytków, Dyrektora Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków informujemy, że „stworzono wszelkie warunki, aby dzieła były właściwie przechowywane, zabezpieczone i eksponowane.." Do wiceministra kultury i sztuki Wacława Janasa wystosowano pismo „z gorącym podziękowaniem za wielką troskę okazaną w tej sprawie naszemu Muzeum". Całość tej obszernej dokumentacji znajduje się w Dziale Sztuki Dawnej Muzeum Ziemi Lubuskiej. Zawiadamiamy wojewódzkie i miejskie władze o przygotowaniach do przyjęcia wybranych prac z Warszawy. W tej sprawie wysyłamy pismo do wojewody zielonogórskiego Zbyszko Piwońskiego i prezydent miasta Zielonej Góry, Antoniny Grzegorzewskiej, dziękując im za okazaną pomoc, która „w dziele budowy Muzeum Historii Miasta Zielonej Góry miała dla nas znaczenie decydujące".

Z „Gazety Lubuskiej" pracownicy Muzeum dowiadują się, że Uchwałą nr XIV/160/91 Rady Miejskiej w Zielonej Górze z dn. 28 VI 91... w sprawie sprzedaży i oddania w użytkowanie wieczyste... nieruchomość przy placu Wielkopolskim oznaczona na mapie ewidencyjnej numerem działki 294/3 o pow. 0/0276 ha, stanowiącej własność miasta, obiekt przewidziany na Muzeum Historii Miasta, przeszedł na własność kościoła katolickiego. Dokonano tego w ramach rekompensaty za bezprawne wywłaszczenie Parafii Rzymskokatolickiej z obiektu mieszczącego obecną Filharmonię. Historia tego wywłaszczania to dramatyczna karta w powojennej historii naszego miasta. Niezależnie jednakże od racji historycznych popadłem w głęboki konflikt sumienia. Wiele lat żyłem nadzieją stałej galerii Tadeusza Konicza w Muzeum Historycznym naszego miasta, miasta którego awans może zadziwić każdego myślącego człowieka. A tutaj nagle decyzja budząca moje najwyższe zdumienie. I z tego zdumienia mogę się wycofać, ale nigdy z refleksji, że dotrzymywanie obietnic mieści się w kategoriach moralnych i etycznych. Realizowanie obietnic stanowi część porządku społecznego. W tym mieści się między innymi szacunek do władzy, niezależnie od szczebla jej sprawowania. W naszej demokracji niestety spotykamy się zbyt często z wiarołomnymi zobowiązaniami. Aby dla zdrowia psychicznego nie popaść z tego powodu w społecznie nieuleczalną frustrację, pocieszyłem się monografią naukową napisaną przez należącego do młodych pracowników naszego uniwersytetu, Dariusza Dolańskiego *Tadeusz Kuntze – malarz rodem z Zielonej Góry.* (1993 r.)

Teraz w pracy Dariusza Dolańskiego mamy cały aparat naukowy uświadamiający nam sens minionych działań zakończonych przez los historii fiaskiem – pisałem recenzując tę pracę w 1994 roku. („Rocznik Lubuski", t. XIX). *Zamiast galerii mamy monografię.* To zdanie było prawdziwe do dnia 8 stycznia 2003 roku. Dr Andrzej Toczewski toczy batalię o budynek dla muzeum miejskiego prawie od pierwszego dnia swojego urzędowania. Ileż to było propozycji, jakie obiekty, np. budynek szkoły muzycznej z tradycją zorganizowanego w nim muzeum przez Makusynów Zbyszka Czarnucha. Wreszcie powołano Muzeum Miasta Zielonej Góry w strukturze organizacyjnej M.Z.L. Od końca 2001 roku Muzeum Ziemi Lubuskiej podjęło realizację projektu: – „Tadeusz Kuntze europejski malarz z Zielonej Góry", a wkrótce potem odbyła się publiczna prezentacja kopii obrazu, słynnej „Fortuny", wraz z otwarciem stałej galerii Kuntze-Konicza. Kopię wykonała artystka Irena Bierwiaczonek, która obok twórczej woli genetycznie zaprogramowanej w rodzinie, okazała się także uzdolnioną kopistką. W dniu uroczystego otwarcia galerii dyrektorowi Andrzejowi Toczewskiemu zabrakło słów uznania dla Ireny, wobec czego oświadczył publicznie, że Ją kocha, wprowadzając w zachwyt zgromadzoną publiczność przez sugestię odczytania wartości artystycznej za pomocą emocji tworzącej wartość estetyczną. Czyżby było to spektakularne odniesienie się do fenomenologii Romana Ingardena?

Jan Muszyński

Wzgórza Dalkowskie, część środkowa o powierzchni 382 km^2 obejmuje obszar między Gaworzycami – Bukowicą – Nowym Miasteczkiem – Bytomiem Odrzańskim a doliną Odry (Bytom Odrzański – Brzeg Głogowski) i drogami Brzeg Głogowski – Kurów Wielki – Gostyń. Poza środkową częścią Wzgórz występuje zachodnia i wschodnia. Wzgórza Dałkowskie zwane często Górami Kocimi należą do wyraźnie wyodrębnionego pasma wzniesień – Walu Trzebnickiego. Dzielą się na cztery mikroregiony: Równinę Brzeźnicką, Grzbiet Dałkowski, Wzgórza Kożuchowskie i Wzgórza Polkowickie. Niniejsze opracowanie dotyczy Grzbietu Dałkowskiego i okolic części środkowej Wzgórz. W obrębie Wału Trzebnickiego o długości około 200 km i szerokości 10 km od okolic Żarowa na zachodzie, po okolice Ostrzeszowa na wschodzie, o powierzchni 3239 km^2, wyróżnia się następujące regiony: na zachodzie Wzniesienia Żarskie i Wzgórza Dałkowskie, na wschodzie zaś Wzgórza Trzebnickie, Twardogórskie i Ostrzeszowskie, rozdzielone doliną Odry (Obniżeniem Ścinawskim). Przedłużeniem Wału Trzebnickiego w Niemczech jest pasmo wzniesień Flämingu. Omawiany obszar należy do dwóch województw: lubuskiego (70% powierzchni) i dolnośląskiego. W województwie lubuskim obejmuje część powiatu nowosolskiego (gminy Nowe Miasteczko i Bytom Odrz.) i żagańskiego (gmina Niegosławice), a w województwie dolnośląskim część powiatu głogowskiego (gmina Żukowice) i polkowickiego (gmina Gaworzyce). Gruntami leśnymi administrują nadleśnictwa w Szprotawie i Nowej Soli (woj. lubuskie) i nadleśnictwo w Głogowie (woj. dolnośląskie).

1. Ukształtowanie terenu

Ukształtowanie terenu Grzbietu Dałkowskiego i okolic jest urozmaicone krajobrazowo ze względu na bogactwo rzeźby. Dominują morenowe wzniesienia w kształcie pasm, uformowane w linii prostej i łukowatej, samodzielne lub usytuowane równolegle, schodzące się, jak i rozdzielające na kilka pasm.

Pasma mają spłaszczone grzbiety lub zaostrzone, jak i też tarasowe. Występują także kopce, tzw. górki pojedyncze lub gwiaździste, spłaszczone wypiętrzenia i faliste niewysokie wzniesienia. Przykładem wzniesienia gwiaździstego jest Góra Jasia utworzona z wypiętrzenia, połączenia się kilku pasm z różnych kierunków. Grzbiet Dałkowski w wyższych partiach często poprzecinany jest głębokimi wąwozami i jarami o stromych zboczach. Różnice wysokości dochodzą do 50 m. Wzniesienia obniżają się w kierunku Doliny Odry i stają się bardziej płaskie.

Do najwyższych wzniesień nad poziomem morza o nazwach prawnie ustalonych bądź nazwach potocznie używanych należą: Góra Jasia – 230 m, w środkowej części Grzbietu Dałkowskiego, Bukowica – 221 m, koło wsi Bukowica, Góra Dałkowska – 217 m, w rezerwacie Dałkowskie Jary, Wzniesienie Buchwaldzkie – 217 m, koło drogi krajowej Zimna Brzeźnica – Nowe Miasteczko, Bonowska Góra – 216 m, w rezerwacie Annabrzeskie Wąwozy, Grodzisko Gostyń – 180 m, koło wsi Gostyń, Góra św. Anny – 170 m, koło wsi Mierzów i inne bez nazw.

2. Gleby i bogactwa naturalne

Omawiany teren posiada głównie gleby lessowe, brunatne, należące do najlepszych gleb. Wykorzystywane są do uprawy zbóż, ziemniaków i buraków cukrowych oraz innych warzyw. Zachowanie ich stałej wysokiej produktywności wymaga odpowiednich zabiegów agrotechnicznych, m.in. stosowania nawozów organicznych i mineralnych. Mimo że nie wszyscy użytkownicy je stosują, na tym obszarze nieużytki nie występują. Z bogactw naturalnych znajdują się tu pokłady węgla brunatnego, wapieni, soli, ślady rudy darniowej, związki ołowiu, żwiry i piaski. Bogactwa te nie przedstawiają większej wartości i obecnie nie są eksploatowane. W XIX w. wydobywano węgiel brunatny tuż pod warstwą nawierzchni. Kopalnie były w Kurowie Wielkim i Dalkowie (koło obecnego cmentarza). I tak np. w 1859 r. wydobyto około 18 000 ton. Wobec trudnej przeróbki na miejscu i kłopotów transportowych dalszą eksploatację wstrzymano. Sporadycznie wydobywano również żwiry i piaski. Udokumentowane są również na głębokości 700-900 m złoża kruszców miedzi. W przyszłości będą one eksploatowane.

3. Wody

Wody powierzchniowe na omawianym terenie zajmują bardzo małą powierzchnię. Nie ma tu rzek, jezior, stawów. Jest tylko kilka małych potoków, strumieni i oczek wodnych. Najdłuższym potokiem jest Biała Woda, która płynie obrzeżem, wypływa spod Borowa, płynie przez Nowe Miasteczko, Rejów i koło Kielcza wpada do Odry. Są też mniejsze potoki, jak:

– Posłuszyn; płynie ze wzniesienia koło wsi Wierzbniczki i uchodzi w pobliżu Bytomia do Odry,

– Bonówka; wypływa spod Miłakowa, płynie przez Bonów, Kropiwnik, Dobrzejowice do Odry.

W znacznym stopniu rolę wód powierzchniowych spełnia Odra. Płynie ona poza tym obszarem, ale ze względu na bliskość ma duży wpływ na warunki klimatyczne: temperaturę, ilość opadów. Groźne bywają znaczne przybory wody, m. in. w 1997 r. w czasie powodzi.

Odra, druga co do wielkości rzeka w Polsce, wypływa na wysokości 634 m n.p.m. z czeskich Gór Oderskich w Sudetach. Jej długość wynosi 854 km, w granicach Polski – 742 km. Początkowo ma charakter rzeki górskiej. Po minięciu Bramy Morawskiej zmniejsza spadek. W połowie XIX w. w celu zabezpieczenia terenów nadrzecznych przed niszczycielskim działaniem wody (powodzie), zwiększenia szybkości rzeki i ułatwienia żeglugi przeprowadzono jej regulację. Polegała ona na wyprostowaniu nadmiernie występujących serpentyn (zakoli) oraz poszerzeniu zwężeń i pogłębieniu koryta. Aby zabezpieczyć brzegi przed wylewem wody, wybudowano wzdłuż rzeki wały ziemne, a koryto zabezpieczono tzw. główkami (ostrogami) wyłożonymi kamieniami. Ta bardzo kosztowna operacja spowodowała skrócenie Odry o prawie 180 km. W czasie regulacji, od Koźla do Brzegu Dolnego rzeka została skanalizowana. Na odcinku 186 km wybudowano 23 stopnie wodne z różnicą poziomu 64 m. Dalej w dół Odra została uregulowana. W sąsiedztwie omawianego terenu mimo częściowego uregulowania tworzy nadal liczne zakręty (zakola) i pozostałe starorzecza. Średni stan wody wynosi 2,0-1,5 m na wysokości 70 m n.p.m. W pobliżu Cedyni, w odległości 84 km od ujścia, Odra dzieli się na dwa ramiona, z których główne przepływa obok Szczecina i wpada do Zalewu Szczecińskiego, a drugie, zwane Regalicą. przepływa przez jezioro Dąbie i uchodzi również do Zalewu Szczecińskiego. Przeprowadzona regulacja nie dała żadnych gwarancji zabezpieczenia przed większym napływem wody, a wręcz przeciwnie – ułatwiła rozlewanie się Odry (mniejsza powierzchnia koryta, szybszy bieg rzeki itp.). Odra na odcinku 160 km jest rzeką graniczną między Polską i Niemcami. Stanowi ona najlepszą w Polsce drogę wodną. Największym problemem

żeglugi są w okresach braku opadów niskie stany wody i malejące zapotrzebowanie na tego rodzaju transport. Wiele lat zaniedbań w zakresie ochrony środowiska sprawiło, że korytem płynie woda pozaklasowa. W ostatnich latach większa dbałość o środowisko doprowadziła do zmniejszania się zanieczyszczeń.

4. Roślinność i świat zwierząt

W zamierzchłych czasach cały teren Ziemi Głogowskiej zalegały lasy. Świadczą o tym dawne nazwy osad, m.in. Brzezie, Buczyna, Dębno, Dębina, Grabik, Lipiny, Wierzchowiec. Karczowano lasy, wykorzystując drewno pod budowę osad, a żyzną ziemię pod uprawy. Obecnie lasy zajmują zaledwie około 20 procent powierzchni.

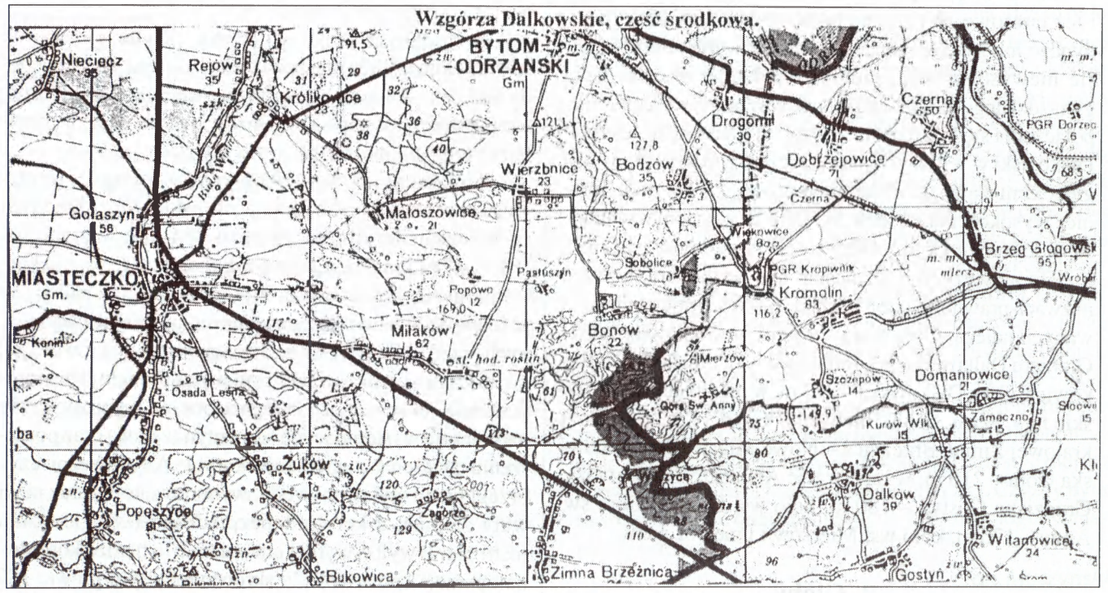

Rosną głównie w zwartych kompleksach, w wyższych partiach Grzbietu Dałkowskiego, niżej w niedużych zagajnikach. Drzewostany spotyka się w parkach podworskich i pojedynczo przy osiedlach i drogach. W lasach i zagajnikach przeważającym gatunkiem jest sosna (około 70%), pozostałe to drzewostany liściaste, jak dąb (około 13%), buk, brzoza, topola, jarząb, grab. W parkach występują, oprócz rodzimych drzew i krzewów, liczne gatunki obcego pochodzenia. Dominują drzewa liściaste, podobnie jak w lasach oraz klony, jesiony, lipy, wiązy, orzechy, tulipanowce, kasztanowce, platany i inne oraz nieliczne iglaste: jodły, cypryśniki, cisy, daglezje, świerki, modrzewie. Przy osiedlach rosną najczęściej dęby, wierzby, akacje, topole, a przy drogach drzewa owocowe. Są też liczne gatunki krzewów i bogate runo leśne. Negatywne skutki na roślinność miały w poprzednich latach zanieczyszczenia Huty Miedzi Głogów, leżącej poza omawianym terenem. Znaczne obniżenie emisji pyłowo-gazowej, poprawa gospodarki wodno-ściekowej oraz oddanie do eksploatacji w 1998 r. instalacji odsiarczania spalin z elektrociepłowni, wyraźnie wpłynęły na poprawę środowiska naturalnego. Na tym terenie znajdują się dwa rezerwaty przyrody:

1. **„Dałkowskie Jary"**, o pow.17,05 ha, utworzony w 1972 r. koło Dalkowa dla zachowania fragmentu lasu świeżego z przewagą buka pochodzenia naturalnego z bogatym runem. Na niewielkim terenie rosną dęby, lipy, graby, wiązy, sosny. Wiek drzew wynosi od 150 do 300 lat. Obszar rezerwatu ma urozmaiconą rzeźbę, występują tu pagórkowate wzniesienia od 150 do 217 m, co podnosi walory krajobrazowe.

Do objętych ochroną ścisłą lub częściową należą niektóre krzewy i rośliny runa leśnego, jak: kostrzewa leśna, wydmuchrzyca, marzanka wonna, fiołek leśny, turzyca, miodunka ćma, borówka czarna, śmiałek pogięty, kosmatka owłosiona. W partii szczytowej występują dwa grodziska, określane jako zabytki kultury łużyckiej. W śladach grodziska na Górze Dałkowskiej zachował się do dziś widoczny podjazd, wały i fosy obronne. Na terenie obecnego rezerwatu istniało do 1945 r. schronisko turystyczne cieszące się dużą popularnością. Zbudowano je według założeń podobnych obiektów w Sudetach. Na dole mieściła się recepcja, część gastronomiczna i mieszkanie właściciela. Piętro przeznaczone było na noclegi. W środku był korytarz i wejścia do pokoi, razem schronisko dysponowało 34 noclegami. Po zakończeniu wojny obiekt nie znalazł gospodarza i do połowy lat pięćdziesiątych stał zdewastowany, a później rozebrany.

2. **„Annabrzeskie Wąwozy"**, rezerwat utworzony w 1977 r. koło Bonowa, o pow. 55,83 ha. Celem utworzenia

rezerwatu było zachowanie i ochrona lasu z udziałem drzewostanów starszych o charakterze naturalnym. Rezerwat znajduje się na obszarze polodowcowym z urozmaiconą rzeźbą terenu. Morenowe wysoczyzny poprzecinane są głębokimi wąwozami i jarami o stromych zboczach, dochodzącymi do 50 m różnicy. Występuje tu 25 gatunków drzew, 9 tworzy drzewostany. Rosną buki, sosny, daglezje, dęby, świerki, brzozy, modrzewie, jesiony. Strome zbocza wąwozów i jarów porośnięte są w dużej części lasem bukowym. Najstarsze pojedyncze drzewa osiągają wiek: buki – 250 do 400 lat, dęby – 300 lat, świerki – 200 lat.

Do objętych ochroną ścisłą lub częściową należą również niektóre krzewy i rośliny runa leśnego, jak konwalia majowa, marzanka wonna, kopytnik pospolity, podrzeń żebrowiec, gnieźnik leśny, widłaki jałowcowaty i spłaszczony. W najwyższym punkcie rezerwatu na Bonowskiej Górze zbudowano drewnianą wieżę widokową. Niedaleko wieży przygotowano miejsce wypoczynku. Z wieży roztaczają się rozległe widoki na rezerwat i najbliższe miejscowości: Bonów i dalej Bytom Odrzański. Poza drzewostanami w rezerwatach objętymi ochroną, występują również drzewostany, starodrzewia prawnie chronione, rosnące w parkach wiejskich, tzw. podworskich. Są też starodrzewia jeszcze nie zinwentaryzowane, zasługujące na ochronę.

Prawnie chronione pomniki przyrody w parkach, najczęściej zaniedbanych, nie oznakowane występują:

Drzewa	Wiek w latach	Obwód w cm	Wysokość w m
park w Gaworzycach, cypryśnik błotny	150	335	20
park w Zimnej Brzeźnicy, lipa	350	470	30
koło Nowego Miasteczka, dąb	160	377	16
park w Królikowicach, dęby (5)	300-400	375-570	30-36
park w Bytomiu Odrzańskim, dęby (5)	350	325-530	40-45
na koronie wału przeciwpowodziowego koło Czernej, dęby (241, aleja)	50-350	120-650	30-45
park w Sobolicach			
buki zwyczajne (2)	300-350	410-480	37
dąb	350	420	36
jesion wyniosły	250	340	35
miłorząb dwukłapowy	150	180	38
platany klonolistne (3)	250-400	380-550	30-36
lipa drobnolistna	250	340	20
wieś Wierzbnica			
dęby (2)	150	300-320	26
park w Kromolinie, platan klonolistny	350	780	25
park w Szczepowie			
platany klonolistne (4)	150-250	420-670	25
buki pospolite (3)	200-300	250-330	25-30
dęby (2)	200	390-480	24
koło Szczepowa, dąb	400	640	26
park w Bonowie			
buki (3)	300	370-400	30-35
topola	250	740	35
platan klonolistny	400	700	30
park w Dalkowie, platan klonolistny	300	440	25
buki (5)	250-300	240-465	13-25
wieś Dalków, dęby	200-250	370	25

Świat zwierząt na Wzgórzach Dałkowskich jest mniejszy, uboższy niż w sąsiednich rejonach. Nikłe zalesienie i sieć wodna mają wpływ na wielkość populacji. Spotyka się jednak tu samy, lisy, dziki, zające, wiewiórki, płazy i gady oraz różne gatunki ptaków.

5. Rys historyczny

Historia Wzgórz Dałkowskich, jej części środkowej, ściśle jest związana z dziejami Głogowa. Ziemię głogowską, jak wynika ze źródeł IX w., zamieszkiwało słowiańskie plemię Dziadoszan. Było ponad 20 grodów. Obecnie znanych jest 16 grodzisk, m.in. Gostyń i Góra Dałkowska. Pod koniec X wieku Mieszko I utworzył państwo polskie i ziemie te znalazły się w granicach Polski. W czasach Bolesława Chrobrego w 1010 r. i 1017 r. Germanie napadli na Głogów i pustoszyli okolice. Godnym uwagi jest obrona miasta przed wojskami niemieckimi i śmierć dzieci głogowskich 24 sierpnia 1109 r. Po śmierci Bolesława Krzywoustego Polska została podzielona między jego synów i z czasem Głogów stał się stolicą odrębnego księstwa (1247 r.). Dzieje Księstwa Głogowskiego to największy rozkwit miasta i okolic. Do Księstwa w różnych okresach należała Zielona Góra, Żagań, Krosno, Międzyrzecz, Wołów, Nakło, Kalisz. W 1491 r. księciem zostaje Władysław, syn Kazimierza Jagiellończyka, po nim Jan Olbracht i od 1499 r. do 1508 r. Zygmunt Jagiellończyk, późniejszy król Polski Zygmunt Stary. Po objęciu tronu polskiego przez Zygmunta Księstwo przeszło pod panowanie Czech. Wojna trzydziestoletnia (1618-1648 r.) doprowadziła Głogów i okolice do zupełnej ruiny (przemarsz wojsk, grabieże, kontrybucje, pożary itp.). Do 1675 r. rządzi księstwem ostatni Piast – Jerzy Wilhelm, książę legnicki; po jego śmierci władzę przejmują Habsburgowie austriaccy, a od 1740 r. po walkach cały Śląsk przechodzi pod panowanie Prus. Wiek XVIII nie przyniósł spokoju mieszkańcom. W okresie wojen napoleońskich Głogów był oblegany i niszczony. W mieście przez dłuższy okres kwaterowali polscy legioniści Henryka Dąbrowskiego, szwoleżerowie Hipolita Kozietulskiego, przebywali m.in. gen. Józef Wybicki – twórca hymnu narodowego, gen. Jan Nepomucen Umiński. W tym czasie w okolicznych wsiach mieszkało wielu Polaków. Jeszcze w połowie XIX w. w Głogowie, w gimnazjum uczono języka polskiego, istniały polskie organizacje. W 1880 r. w Głogowie odbył się zjazd polskich pszczelarzy z udziałem bardzo znanego księdza Jana Dzierżonia, działacza polonijnego. Proces germanizacji doprowadził do zaniku ludności polskiej. W końcu drugiej wojny światowej Niemcy ponownie zamienili Głogów w twierdzę. Podczas trwającego sześć tygodni oblężenia miasto zostało zamienione w cmentarzysko gruzów. Zniszczenia objęły prawie 95% miasta. Podobne zniszczenia dotknęły okolice. Ostatnie oddziały niemieckie w dniu 1 kwietnia 1945 r. złożyły broń. Po wojnie w wielu miejscowościach osiedlili się zdemobilizowani żołnierze Wojska Polskiego.

cdn.

Jerzy Łatwiński

1. Co nieco o kuchni chińskiej

Potrawy chińskie są przygotowywane szybko, w wysokiej temperaturze. Produkty są zazwyczaj drobno pokrojone w paseczki lub pałeczki. W efekcie chińszczyzna to zwykle potrawy dość twarde, choć kruche. Podstawowe pożywienie to ryż jedzony pałeczkami. Najczęściej jadane przez Chińczyków mięso to wieprzowina (mahometanie zastępują ją baraniną) oraz drób – kurczaki i kaczki. Potrawy mięsne przygotowywane są zwykle na oleju sojowym lub sezamowym. Tradycja zabrania Chińczykom spożywania masła, serów, mleka zsiadłego i śmietany, które to potrawy w świetle religii uznano za zepsute. Chiński obiad to dopiero uczta! Nam wystarczą dwa dania. Chińczycy natomiast podczas tego typu posiłków jedzą o wiele więcej potraw, ale za to w mniejszej ilości. No i ta ich gościnność – im więcej gość zje, tym większy oddał honor panu domu, a zostawić resztki na talerzu to „chińska kulinarna zbrodnia"!

2. Gołąbki po poznańsku

Składniki: 25 dag mięsa mielonego, 40 dag ryżu, 1 cebula do farszu, 1 jajko, główka kapusty, sól, pieprz, zioła do smaku, 6 cebul i 6 marchwi do przekładania warstw.

Na sos: 40 dag pomidorów lub koncentrat pomidorowy, 40 dag kwaśnej śmietany, sól, pieprz, cukier do smaku.

Z kapusty wyciąć głąb, włożyć ją do wrzącej wody. Po ugotowaniu oddzielić liście. Ryż ugotować na sypko w osolonej wodzie. Mięso połączyć z ryżem, jajkiem i przyprawami. Wyrobioną masę nakładać na liście, zaginać brzegi i zawijać w ciasny rulonik. Układać ciasno w rondlu w dwóch, trzech warstwach. Każdą z nich przekładać poszatkowaną surową cebulą i marchewką. Podlać osoloną wodą i gotować do miękkości. Przygotować sos. Pomidory rozgotować na silnym ogniu pod przykryciem. Dodać śmietanę, wymieszać, doprawić do smaku cukrem i przyprawami. Zalać gołąbki sosem i gotować jeszcze 10 minut.

3. Śledzie po cygańsku

Składniki: 50 dag płatów śledziowych (matiasów), 2 cebule, pół szklanki oleju, 1 łyżeczka octu, 1 średnia puszka koncentratu pomidorowego, 1 łyżeczka ostrej papryki, szczypta chilli, cukru i pieprzu.

Płaty śledziowe namoczyć na 24 godziny przed przyrządzeniem, zmieniając kilka razy wodę. Cebulę obrać i pokroić w plasterki. Olej podgrzać w rondelku, wrzucić pokrojoną cebulę i dusić ją około 5 minut, aby była półmiękka. Dodać koncentrat pomidorowy, paprykę, chilli, pieprz i szczyptę cukru, delikatnie wymieszać. Wyłożyć warstwę jeszcze ciepłej cebuli na spód salaterki, ułożyć pokrojone na porcje płaty śledziowe, ponownie cebulę, resztę płatów śledziowych oraz pozostałą cebulę. Całość zalać olejem z koncentratem pomidorowym i octem. Schłodzić przed podaniem.

4. Grzyby po litewsku

Składniki: 1 kg świeżych grzybów (borowiki, koźlarze, gąski, rydze itd.), 2 cebule, 3 łyżki masła, 3 szklanki śmietany, 2 łyżki tartego chleba, 2 ugotowane na twardo jajka, 2 łyżki tartego chrzanu, sól, pieprz do smaku.

Grzyby oczyścić (z maślaków zdjąć skórkę), dokładnie opłukać i pokroić w paseczki. Cebulę obrać, pokroić w kostkę, podsmażyć na rozgrzanym maśle, dodać grzyby, dusić do miękkości. Pod koniec duszenia dodać śmietanę, chleb i drobno posiekane jajka. Doprawić do smaku solą i pieprzem. Podawać z pieczywem.

5. Zupa z dyni

Składniki: 2 łyżki oliwy, 1 czerwona papryka, 2 łyżki drobno posiekanej cebuli, filiżanka ryżu, 75 dag pokrojonej w kostki żółtej dyni, 1 i 1/2 litra wody lub lekkiego rosołu, 1 łyżeczka słodkiej papryki w proszku, filiżanka jogurtu lub kwaśnej śmietany, żółty ser, keczup.

Podgrzać oliwę, dodać pokrojoną w paski paprykę oraz cebulę, gdy się zrumienią wsypać suchy ryż. Gdy ryż pięknie pożółknie dodać dynię i podlać wodą lub rosołem. Gotować ok. 20 minut na średnim ogniu, posolić i doprawić papryką w proszku do smaku. Tuż przed podaniem zaprawić filiżanką jogurtu lub śmietany. Oddzielnie podać utarty ser i grzanki z bułki paryskiej. Przed nalaniem zupy na talerz można położyć na dnie łyżeczkę keczupu.

Stanisław Prałat